ŚWIATOWE ŻYCIE®

Clare Connelly

Kochankowie z balu

HARLEQUIN®

Clare Connelly

Kochankowie z balu

Tłumaczenie: Barbara Budzianowska-Budrecka

HarperCollins Polska sp. z o.o.
Warszawa 2022

Tytuł oryginału: *Their Impossible Desert Match*

Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Limited, 2020

Redaktor serii: Marzena Cieśla

Opracowanie redakcyjne: Marzena Cieśla

© 2020 by Clare Connelly
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2022

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A. Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiejkolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiekolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin i Harlequin Światowe Życie są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A. Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 34A

www.harpercollins.pl

ISBN 978-83-276-7933-8

Konwersja do formatu EPUB, MOBI: Katarzyna Rek / Woblink

PROLOG

Dziewiętnaście lat temu

Królewski pałac w Ishkanie u stóp łańcucha Al`amani

– Odpowiedz natychmiast! – kategorycznie zażądał książę Amir Haddad, choć miał zaledwie dwanaście lat, podczas gdy zgromadzeni w jego sypialni doradcy byli co najmniej trzykroć starsi. Od dziecka wpajano mu świadomość jego przyszłej roli i wagi czekających go obowiązków.

Fakt, że o czwartej nad ranem do jego prywatnych apartamentów wkroczyło sześciu mężczyzn, mógł go zaniepokoić. Tymczasem Amir nie zdradzał żadnych emocji. Utkwił swe ciemne oczy w twarzy Ahmeda, wieloletniego powiernika ojca, i czekał na odpowiedź, mierząc go stalowym spojrzeniem.

Ahmed zrobił krok w przód. Gdy wszedł w głąb sypialni, książę zdał sobie sprawę, że powinien wstać i z otwartymi oczami stawić czoło temu, co nastąpi. Odrzucił przykrycie utkane z najcieńszego lnu i opuścił stopy na posadzkę z mozaiki, której złoto, błękit i purpura zdawały się pod nim falować.

– Co się stało? – Surowy wyraz oczu udzielił się jego głosowi.

Ahmed wolno się skłonił, z trudem dobywając słowa.

– Doszło do ataku, Wasza Wysokość.

Chłopiec czekał.

– Jego celem był konwój towarzyszący rodzicom Waszej Wysokości.

Amir jedynie się wyprostował. Czuł, że jego serce zwalnia, a krew w żyłach zwolna przemienia się w lód.

– Są ranni?

Słyszał, jak jeden z mężczyzn wydał cichy jęk, ale wciąż nie odrywał wzroku od Ahmeda.

– Tak. Bardzo poważnie. – Łagodne rysy Ahmeda ściągnął grymas bólu. Położył dłoń na ramieniu księcia – gest niespotykany. – Panie, oni oboje zginęli.

Jego głos przepełniało zarówno współczucie, jak też osobisty ból. Służył ojcu Amira przez długie lata, od kiedy sam był chłopcem. Jego cierpienie było głębokie i szczere.

Amir jedynie skinął. Wiedział, że musi zapanować nad sobą do chwili, gdy zostanie sam. Dopiero wtedy może dać upust rozpaczy, poddać się bólowi, który powala na kolana i paraliżuje ciało. Nie będzie publicznie rozpaczał. Nie tego oczekuje jego kraj. Był teraz władcą, ale i sługą swych poddanych.

– Kto za tym stoi?

Jeden z pozostałych mężczyzn wystąpił wprzód. Amir rozpoznał odznaczenia wojskowe zdobiące jego biały mundur.

– Banda renegatów z Taquulu.

Na chwilę zamknął oczy. Już ponad wiek toczyli zaciekłe wojny z tym sąsiadującym od wschodu krajem. Trudno zliczyć, ile pochłonęły ofiar. A teraz… jego rodzice.

On, Amir, był więc szejkiem Ishkany

– Banda buntowników – dodał cicho Ahmed – której dowodził Jego Wysokość Johar Kadir.

Amir wsparł dłonie na biodrach i wolno pokiwał głową. Brat króla Taquulu był znanym awanturnikiem. Wszyscy wiedzieli o jego konszachtach z mieszkańcami pogranicza, którzy od lat czerpali korzyści z toczącego się konfliktu i pragnęli, by nadal trwał. Za wszelką cenę. Ale taką?

To był nowy krok w tej stuletniej wojnie. Akt niewybaczalny. Amir poprzysiągł wtedy, że dopóki żyje, będzie szukał odwetu. Ród Kadirów zapłaci za tę zbrodnię. Nikt i nic nie zdoła w nim ugasić pragnienia zemsty.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Księżniczka Johara Kadir z wrodzoną gracją przeszła przez salę, zadowolona z anonimowości, jaką zapewniał jej bal maskowy. Drogocenna maska z onyksu i pereł, ozdobiona strusimi piórami półmetrowej długości, skrywała całą jej twarz. Tego wieczoru rozpoznali ją tylko ci, którzy dostrzegli znajomą iskrę w jej złocistych oczach. Bardzo nieliczni.

Nie masz wyboru, Joharo – powtarzała w myślach. Wobec tej decyzji cała rodzina musi się zjednoczyć. Dla naszego ludu…

Tak, dla ich ludu. Pokojowe porozumienie z sąsiednią Ishkaną było wydarzeniem epokowym. Mogło ocalić wiele ludzkich istnień, zapewnić krajowi dobrobyt i bezpieczeństwo. To oczywiste, że musi poprzeć brata, który głęboko się angażował w proces pokojowy.

Nie to jednak było przyczyną jej przygnębienia.

Niedawno wezwano ją do powrotu. Na zawsze. Musiała porzucić Nowy Jork, społeczną pracę na rzecz edukacji dzieci, a także własną życiową drogę i cele. Wszystko po to, by pozostać w Taquulu, gdzie już przesądzono o jej przyszłości. Miała poślubić Parisa Alkad`ra – mężczyznę wybranego dla niej przez brata, i pełnić w swym królestwie reprezentacyjną, lecz nieistotną rolę.

Dławiła ją myśl o takim losie, ale rozumiała motywy swego nadopiekuńczego brata. Widział, jak cierpiała po rozstaniu z Matthew – Amerykaninem, który złamał jej serce. Dlatego chciał jej zapewnić spokój i bezpieczeństwo. Pamiętała bezlitosne artykuły w prasie i okrucieństwo

tabloidów. Malik postanowił ją chronić, jednak aranżując to małżeństwo, posunął się za daleko. Związek, który z założenia opierał się wyłącznie na interesie politycznym, budził jej gorący sprzeciw.

Malik Kadir, jej brat i szejk Taquulu, był od niej starszy. Od dziecka przygotowywano go do objęcia władzy. W porównaniu z nim odgrywała niewielką rolę, zwłaszcza w oczach rodziców. Zresztą i on zdawał się czasem zapominać, że jego siostra obdarzona jest wolną wolą i nie wystarczy skinąć palcem, by okazała mu posłuszeństwo. Johara wątpiła, by ktokolwiek mógł dorównać jego arogancji, i choć go uwielbiała, często oburzały ją jego decyzje.

Głęboko westchnęła, wzięła kieliszek szampana od przechodzącej kelnerki i umoczyła w nim usta. Zaraz jednak odstawiła go na tacę. Bal był wyjątkowy pod każdym względem. Do obsługi gości zatrudniono tancerki z Baletu Narodowego, które w bladoróżowych i srebrnych spódniczkach przesuwały się wśród tłumu niczym ulotne, hipnotyzująco piękne zjawy. Z okazji tego wydarzenia otwarto również dla gości monumentalny marmurowy hol, prezentujący bogactwo i starożytną potęgę kraju. Za oknami z jednej strony rozciągała się bezkresna pustynia, a z drugiej wznosił potężny górski łańcuch Al`amani. Szerokie stopnie z białego marmuru prowadziły z holu ku błękitnej lagunie. To powstałe przed wiekami dzieło ludzkich rąk oświetlały teraz liczne pochodnie. Wzdłuż naturalnie ukształtowanych brzegów starannie ułożono szklane podesty, by przechadzający się goście mogli podziwiać gimnastyków wykonujących w wodzie taneczne akrobacje. W górze, wysoko nad głowami, lśniły girlandy świateł, dopełniając bajkowej atmosfery tego wieczoru.

Niczego nie zaniedbano.

Johara westchnęła. W Nowym Jorku też ciążyły na niej ograniczenia związane z jej pozycją. Wszędzie, gdziekolwiek była, dyskretnie

towarzyszyła jej ochrona, mieszkała w królewskim apartamencie i czasem musiała pełnić oficjalne funkcje. Jednak, ogólnie rzecz biorąc, mogła żyć własnym życiem.

Teraz miała je porzucić i wrócić do kraju, by stać się tylko ozdobą, dopełnieniem kariery męża. A co z jej ambicjami? Z palącą potrzebą użyteczności? Objęła spojrzeniem salę. Dzisiejsze wydarzenie ściągnęło osobistości z wszystkich zakątków globu. Wzajemna wrogość Ishkany i Taquulu była wręcz przysłowiowa. Ich wojna trwała tak długo, że niemal weszła w obyczaj. Johara uśmiechnęła się, widząc, jak zagraniczni dyplomaci puszą się z dumy, najwyraźniej gratulując sobie sukcesu w realizacji procesu pokojowego. Jakże mało wiedzieli o jej bracie. Nikt nie zdołałby zmusić go do działań wbrew własnej woli.

Pragnął tego pokoju. Wiedział, że czas nagli. Odwieczna wrogość dzieliła te dwa sąsiadujące ze sobą kraje od pokoleń, jednocześnie je wyniszczając. Wzajemna nienawiść była obsesyjna i bezcelowa. Ile jeszcze miała pochłonąć ofiar?

Może początkowo istniały po temu powody. Ziemie Ishkany i Taquulu były w większości jałowe i ubogie. I choć istniały tereny urodzajne, to nie wystarczało, by zapewnić powszechny dobrobyt. Dlatego też regiony bogate w wodę i plony rolne stały się przedmiotem sporu. I choć ustalono zasady własności, wojna trwała nadal, a ugody nieustannie łamano. Sytuację pogarszały jeszcze górskie plemiona, które domagały się niezależności i dlatego starały się podsycić wzajemną niechęć zwaśnionych królestw. Życiem tych ludów rządziła przemoc, toteż fakt, że w końcu zdołano osiągnąć pokój, budził powszechne zdumienie.

Johara żywiła gorącą nadzieję, że będzie to pokój trwały.

– Wydajesz się znudzona. – Jej rozważania przerwał czyjś głos. Podniosła wzrok i dostrzegła stojącego obok mężczyznę. Górną część jego

twarzy kryła maska, ale pod delikatnym aksamitem rysowała się szlachetna symetria rysów – mocno zarysowana szczęka, orli nos i pełne usta. Jego ciemne, gęste, lekko falujące włosy opadały na kołnierz szaty i trudno się było oprzeć wrażeniu, że choć ujarzmione, pragną wolno powiewać na wietrze. Oczy miał ciemne jak węgiel, a jego postać, wysoka i muskularna, zdawała się wykuta z brązu niczym posąg jakiegoś starożytnego herosa. Przeszył ją nagły dreszcz. W drogocennej czarnej szacie ozdobionej jedynie złotym ornamentem na kołnierzu i brzegach rękawów ów nieznajomy zdawał się tajemniczy i fascynujący.

Wręcz niebezpieczny.

Zmusiła się, by oderwać od niego wzrok.

– Nic podobnego. – Mimo że trudno byłoby w niej rozpoznać księżniczkę Taquulu, nie mogła rozmawiać tak swobodnie, jakby tego chciała, zwłaszcza z kimś obcym.

Omijała go spojrzeniem.

– A jednak wolałabyś być gdzie indziej? – Nie dawał za wygraną.

Nagle zapragnęła z nim porozmawiać.

– Ja… – Podniosła na niego wzrok. Maska ją ośmielała. Była pod nią ukryta, anonimowa. Nie wiedział, kim jest, a ona nie miała pojęcia, kim jest on. Byli dwojgiem nieznajomych, którzy przybyli na oficjalną uroczystość. Bez nazwisk i tytułów. Na jej usta zwolna wypływał uśmiech.

– Dwadzieścia godzin wcześniej byłam na Manhattanie. – Uniosła ramiona, świadoma, że delikatna tkanina jej szaty porusza się wraz z nią.

– I wolałabyś tam zostać.

– To ważne wydarzenie. – Wskazała salę, a potem odwróciła się, kierując na niego wzrok. – Cały Taquul świętuje pokój zawarty z Ishkaną po tylu latach. Wszyscy są szczęśliwi.

Spojrzał na nią wzrokiem pozbawionym wyrazu. Jego oczy były chłodne jak kamień.

– Nie wszyscy.

– Nie?

– Wielu będzie ukrywać swą nienawiść do końca życia. Pokój nie nastąpi na zawołanie. Nie załatwi tego decyzja dwu mężczyzn.

Coraz bardziej ją fascynował.

– Twoim zdaniem ludzie nie widzą w tym sensu?

Jego usta wygiął nieco ironiczny uśmiech, a ona czuła, że krew zaczyna szybciej krążyć w jej żyłach.

– A zatem mówimy o sensie, nie o uczuciach. Jedno z drugim ma często niewiele wspólnego.

Z każdą chwilą zdawał się bardziej interesujący. Zrobiła krok w jego stronę, nawet sobie tego nie uświadamiając, a potem drugi. Wolno przesuwali się po obrzeżach sali.

– Mimo wszystko wierzę, że mieszkańcy Taquulu odczują wielką ulgę, zwłaszcza ci z pogranicza. Konieczne są jedynie wspólne działania, by wstrzymać niepokoje w regionach górskich.

Intensywność jego spojrzenia wręcz paliła. Dziwne – myślała. – Przed chwilą jego oczy miały chłód kamienia.

– Być może.

– Nie zgadzasz się ze mną?

Na jego ustach znów pojawił się drwiący uśmiech.

– Nie sądzę, by tak łatwo było osiągnąć pokój.

– Mam nadzieję, że się mylisz.

– Wątpię.

Roześmiała się. Jego ironia była tak naturalna, jakby nie był jej świadom.

– Wierzę, że ludzie mogą przestrzegać warunków umowy – dodał z powagą. – Ale nienawiść umiera długą, powolną śmiercią. Obie strony poniosły wiele strat. Ile ofiar pochłonęła ta wojna? Ile niewyrównanych rachunków pozostało?

Jego słowa napełniły ją smutkiem. Zastanawiała się, czy i on nie stracił kogoś bliskiego w tej okrutnej wojnie.

– Myślę, że zemsta nie przynosi nic dobrego – odparła w zamyśleniu. – Czy nie lepiej szukać nadziei w przebaczeniu, niż płacić śmiercią za śmierć, cierpieniem za cierpienie?

Milczał. Nie wiedziała, czy się z nią zgadza, czy nie. Dotarli na przeciwległy kraniec marmurowej sali i jakby kierowani jakąś milczącą umową ruszyli po schodach w dół. Nie były strome, ale on wyciągnął rękę, dotykając jej pleców opiekuńczym gestem.

Nie miało to znaczenia, żadnego. Ale nigdy by sobie na to nie pozwolił, gdyby wiedział, z kim ma do czynienia. Zwykły śmiertelnik nie mógłby się tak spoufalać z Jej Królewską Wysokością księżniczką Taquulu. Tyle że nikt oprócz kilku służących, które pomagały jej w przygotowaniach, nie znał jej tożsamości. A teraz, gdy schodzili po schodach, z każdym kolejnym krokiem jej ciało coraz silniej ku niemu ciążyło.

Na dole wskazał brzeg akwenu.

– Zostań ze mną chwilę. – Zabrzmiało to jak rozkaz, a ona ukryła uśmiech. Nikt w Taquulu nie odważyłby się przemawiać do niej tym tonem.

Posłusznie skinęła. Nie dlatego, że tego żądał, lecz dlatego, że niczego bardziej nie pragnęła. Jego dłoń nadal spoczywała na jej plecach, gdy ją prowadził. Mogli się zatrzymać przy wielkim stole, wokół którego zgrabnie

krążyły tancerki, lecz tego nie zrobili. Było tam wszystko, czego można by chcieć. Dlatego nie rozumiała, czemu nagle go spytała:

– Czy chciałbyś zobaczyć coś specjalnego?

Obrócił się do niej, z namysłem mrużąc oczy, zanim krótko skinął.

Ogarnęło ją nagłe uczucie ulgi. I choć powinno to stanowić ostrzeżenie, czuła jedynie napływającą gwałtownie falę adrenaliny. Ale nie tylko to. Gdzieś, głęboko w jej wnętrzu, budziło się pożądanie. Mężczyzna obok niej poruszał się z naturalną, wręcz uderzającą pewnością siebie. Roztaczał aurę władzy i bogactwa.

Zastanawiała się, kim jest. Może zagranicznym delegatem lub jednym z wielkich przemysłowców, których zapraszano z ważnych okazji? A może jakimś bogatym inwestorem?

Kolejne schody, starsze i mniej imponujące niż te marmurowe, prowadziły w kierunku przeciwnym niż laguna, ku krętej ścieżce. Gdy się na niej znaleźli, jego dłoń nadal jej dotykała, budząc dziwne przeczucie nieuchronnie zbliżającego się przeznaczenia – jakby ta noc i to spotkanie zapisane były w gwiazdach już dawno, dawno temu.

On również nie umiałby wyjaśnić, dlaczego za nią podążył. Od chwili, w której dostrzegł ją po przeciwnej stronie tłumnej sali, ogarnął go niepokój. Pragnął z nią porozmawiać. Wokół roiło się od pięknych kobiet we wspaniałych kreacjach i olśniewających klejnotach, ale widział tylko ją. Czarna szata przylegała do jej ciała jak druga skóra, tak wyraźnie podkreślając idealne kształty, że Amir po raz pierwszy od dawna uległ fizycznej fascynacji.

Nie tłumaczyło tego jedynie pożądanie.

A więc dlaczego pozwolił jej się oderwać od towarzystwa zgromadzonego w pałacu? Przecież wiedział, że wkrótce ma stanąć u boku

szejka Malika Kadira, by podkreślić ich świeżo nawiązaną „przyjaźń”. A przynajmniej w oczach świata ją pozorować.

Dla niego bowiem nic się nie zmieniło. Nadal żywił wobec Kadirów gorącą nienawiść. Przed dziewiętnastu laty, z chwilą śmierci rodziców, poprzysiągł im zemstę i zamierzał dotrzymać tej przysięgi.

– Dokąd mnie prowadzisz?

– Cierpliwości. Zaraz zobaczysz.

Mówiła z lekkim amerykańskim akcentem, a jej aksamitny, śpiewny głos brzmiał w jego uszach jak muzyka.

– Zawsze wyprowadzasz na pustkowie mężczyzn, których nie znasz?

Jej śmiech miał dźwięczność dzwonka.

– Przede wszystkim trudno to nazwać pustkowiem. Może zauważyłeś te wypielęgnowane ogrody?

Skinął głową, milcząco potwierdzając.

– A co do wyprowadzania mężczyzn, których nie znam… – urwała w pół zdania i przystanęła. Jej oczy mówiły więcej niż słowa. Gdy nerwowo łapała oddech, ciche nocne powietrze zdawało się falować. W górze, nad pustynią, lśniły gwiazdy – srebrne na tle aksamitnej czerni.

Nic nie olśniewało go bardziej niż ta kobieta. Jego dłonie sięgnęły do jej maski. Pragnął zobaczyć ją całą. Ale ona mocno je przytrzymała, lekko kręcąc głową.

– Nie. Niech tak zostanie.

Zdziwiły go jej słowa. Czyżby chciała zachować anonimowość? Schylił głowę, ale zamiast się odsunąć, ujął jej dłonie. Jego dotyk był początkowo delikatny, jakby zadawał pytanie. W odpowiedzi nieco się zbliżyła, lekko go muskając. To wystarczyło. Stracił nad sobą kontrolę jak nastolatek ogarnięty gwałtownym pożądaniem. Nie pamiętał już, kiedy po raz ostatni dał się kierować tak prymitywnej sile.

– Chodź ze mną – szepnęła gorączkowo. Chwyciła go za rękę, splatając z nim palce, i pociągnęła. Noc była ciemna, a oni znacznie oddalili się od pałacu, jednak gdy nagle pojawił się przed nimi ogromny krzew, doznał ulgi. Ona tymczasem rozsunęła luźno zwisające gałęzie, rzucając mu przez ramię zagadkowe spojrzenie, po czym zniknęła w ścianie drzew. Na moment przystanął, by się rozejrzeć, zanim za nią podążył. Otoczyły ich wielkie pachnące drzewa pokryte gęstym listowiem. Nawet księżycowa poświata nie rozjaśniała tej gęstwiny. Wewnątrz niej panował głęboki mrok. – Tędy. – Pociągnęła go w głąb, dotykając drugą dłonią liści, jakby kierowała się pamięcią. Skręciła w bok, a potem znów i znów. Wtedy usłyszał szum wody – początkowo odległy, lecz z każdym krokiem głośniejszy. Nie zatrzymywała się, aż w końcu dotarli do fontanny w centrum tego ogrodu labiryntu.

– Pięknie tu, prawda? – spytała, obracając się do niego. Ale on, choć pewien, że to prawda, nie mógł oderwać wzroku od niej. I choć gorąco pragnął zerwać z niej maskę, gdyby nawet to zrobił, w gęstym mroku labiryntu nie mógłby zobaczyć jej twarzy.

– Tak – mruknął niskim, gardłowym głosem.

Uniósł dłoń i delikatnie ujął jej podbródek. A potem zaczął się w nią wpatrywać tak intensywnie i długo, jakby próbował zrozumieć to, co się między nimi działo.

– To pałacowy labirynt, wiesz?

Skinął tylko.

– Słyszałem o nim.

– Oczywiście. Jest słynny w całym Taquulu. – Uśmiechnęła się, a on dostrzegł jedynie połysk czerwonych warg. Nie wyprowadzał jej z błędu. Nie musiała wiedzieć, że pochodzi z Ishkany. Ani… że jest szejkiem.

Nadal się w nią wpatrywał, a ona rozchyliła usta i zmrużyła oczy, tak że pod cienkim woalem maski dostrzegł dwa półksiężyce długich, gęstych rzęs.

Powinien odejść. To było niestosowne. Ale nie potrafił. Miał wrażenie, że niczym sparaliżowany stoi na ruchomych piaskach.

– Jak długo zostaniesz w Taquulu? – spytał w końcu.

Poczuł, że drgnęła.

– Nie wiem.

– Nie lubisz tu być?

Cicho westchnęła.

– Mam mieszane uczucia.

To niejasne wyznanie mówiło więcej, niż można by sądzić.

– A co robisz w Nowym Jorku?

Tym razem spontanicznie się uśmiechnęła.

– Działam w stowarzyszeniu, które zwalcza młodzieńczy analfabetyzm. Wdrażamy inicjatywy na rzecz nauki czytania i pisania dla dzieci w wieku od czterech do siedmiu lat.

Był zdumiony. Nie spodziewał się, że usłyszy coś podobnego. Wyglądała pod każdym względem jak bogata kobieta z modnego towarzystwa, a nie osoba zaangażowana w tak poważną pracę.

– Co cię do tego skłania?

Wciąż na niego patrzyła, ale miał wrażenie, że się zamyka, jakby chciała ukryć jakiś sekret. Nagle poczuł się tym dotknięty.

– To szlachetny cel.

Chciał ją sprowokować, dowiedzieć się więcej, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę, że balansuje nad przepaścią, że im więcej się dowie, tym bardziej może się to okazać niebezpieczne.

– Owszem. – Zapadła cisza. Jego ciemne oczy wpatrywały się w nią przez długą chwilę, aż w końcu spoczęły na jej ustach. Potem powędrowały niżej, obejmując jej kształty pod czarną lśniącą szatą, która migotała w poświacie księżyca.

– To niewiarygodne – mruknął, gdy przesuwał dłoń wzdłuż jej boku, muskając palcami biodra, a potem wędrując wyżej, ku piersiom. Błagała go spojrzeniem, by ich dotknął, a jego ogarniało coraz silniejsze podniecenie. Pragnął natychmiast ją posiąść, tu, pod gwiazdami, pośród drzew, jedynych świadków tego szaleństwa.

– Jak długo będziesz w Taquulu? – spytała nagle.

Tylko tyle, ile to absolutnie konieczne – pomyślał wyrwany z transu. Każda chwila spędzona w tym kraju zdawała mu się zdradą wobec rodziców i ich pamięci.

– Przybyłem tu wyłącznie z okazji tej uroczystości. Wyjeżdżam natychmiast potem.

– To dobrze. – W jej głosie brzmiało zaproszenie, lecz i nuta buntu. – A odpowiadając na twoje wcześniejsze pytanie… Nie, nigdy tego nie robię.

Milczał, czekając, na dalsze wyjaśnienia.

– Nigdy nie wciągam nieznajomych mężczyzn do labiryntu ani nigdzie indziej.

Jej oddech łaskotał mu szyję. Rozchyliła usta i odrzuciła głowę, by zaraz się ku niemu nachylić, poddając się tej chwili uniesienia.

– Ale ty jesteś inny.

Jego usta lekko drgnęły w uśmiechu.

– Czyżby?

– Choćby ze względu na ubiór. Żaden z obecnych tu mężczyzn nie ubrał się w czerń.

Wolno skinął. Były po temu powody. Przed laty w takich ceremonialnych strojach spotkali się przywódcy ich dwu państw, by umocnić pokój i przyjaźń. Amir wybrał ten ubiór w dowód poszanowania tradycji. Ale tak, miała rację, wszyscy pozostali mężczyźni nosili garnitury lub tradycyjne białe szaty.

– Tyle że zazwyczaj tak się nie ubierasz.

Uniosła rękę, by przycisnąć palce do jego piersi. Zaskoczyła tym nie tylko jego, lecz i siebie, nie cofnęła się jednak.

– Czy zdarzyło ci się spotkać kogoś i nagle poczuć… – Zmarszczyła czoło, szukając odpowiedniego słowa.

Nie było to konieczne. Nie musiała niczego tłumaczyć.

– Nie, nigdy…

I zanim zdołała odpowiedzieć, zamknął ustami jej usta z całą siłą pragnienia, jakie go ogarniało.

ROZDZIAŁ DRUGI

Jej suknia była nieprawdopodobnie miękka, a zapięcie biegnące przez całą długość pleców obszyto perłami. Musiał kolejno je rozpiąć, by wyzwolić ją z tej olśniewającej kreacji. Najchętniej niecierpliwie zdarłby tę szatę, ale jej materia zdawała się niezniszczalna. Na szczęście zachował dość rozsądku, by zdawać sobie sprawę, że wyrządziłby tej kobiecie wielką krzywdę, wystawiając ją na widok publiczny w poszarpanym odzieniu.

Oboje ulegli szaleństwu. Nic o niej nie wiedział i mógł się tylko cieszyć, że i ona nic o nim nie wie. Niczego bowiem bardziej się nie obawiał niż sytuacji, która mogłaby zagrozić podpisaniu traktatu.

Maska okazała się dobrodziejstwem. Dzięki niej był zupełnie anonimowy. Kiedy w końcu zdołał uporać się z suknią, ujrzał cienkie białe koronki, które kusząco podkreślały jej kształty. Ogarnęło go palące, wręcz bolesne pożądanie.

Niecierpliwie zrzucał z siebie szaty, nie odrywając od niej wzroku. Jakby się obawiał, że zmieni zdanie, że go powstrzyma. Przecież powinna tak zrobić, opanować szaleństwo, które ich ogarnęło, on zaś powinien stłumić ów kaprys pożądania, to obsesyjne pragnienie rozkoszy. Tak jak tłumił dotąd wiele pragnień.

Wiedział, że jego kraj oczekuje od niego małżeństwa, utrzymania ciągłości rodu. Musiał mu zapewnić następcę tronu. Tymczasem do tej pory wdawał się jedynie w mało znaczące romanse i to z kobietami, które

rozumiały, że nie mogą liczyć na jego zaangażowanie. Czy i ta kobieta mogłaby to zrozumieć?

Ona tymczasem sięgnęła ręką w tył, by rozpiąć stanik. Lekka koronka opadła na ziemię, obnażając dwie doskonałe krągłości.

Aljahim, jakże jej pragnął. Jej pocałunków, dotyku gorącego ciała… Ale czas im nie sprzyjał. Musiał się spieszyć.

– Nie mogę długo tu zostać – rzekł cicho, by ją uprzedzić.

– Ani ja. – Sięgnęła w dół, by zrzucić cienkie stringi, ale pokręcił głową.

– Pozwól mi…

Szeroko otworzyła oczy i opuściła ręce. Czuła niemal pulsowanie jego krwi.

– Na pewno tego chcesz?

Milcząco skinęła głową. Wiśniowa czerwień jej warg zalśniła na ciemnym tle skóry. Rozpaczliwie pragnął zerwać z niej maskę, ujrzeć jej twarz.

– Proszę. – Tym jednym słowem pozbawiła go resztek kontroli. Schylił się i objął ustami jej dolną wargę, a gdy pogłębił pocałunek, jej głowa bezwładnie opadła. Gwałtowny poryw pożądania niósł ich ku sobie z nieokiełznaną siłą.

Ujął w dłonie jej nagie piersi, rozkoszując się ich aksamitną miękkością. Przywarła do jego ramion, opierając się o nie całym ciężarem bezwolnego ciała. To zdecydowało. Jej uległość wyzwoliła w nim dotąd uśpione, pierwotne pożądanie. Oderwał się od jej warg, by powędrować ustami niżej. Lekko muskał skórę dekoltu, a potem objął ustami jej pierś, tak namiętnie pieszcząc nabrzmiałe sutki, że w końcu głośno jęknęła i mocniej przylgnęła do niego biodrami. Wiedział, co czuła, lecz przeciągał

chwilę oczekiwania. Rozkoszował się jej ciałem, poznawał jego reakcje, a ona odpowiadała mu jękiem uległości i ekstazy.

Wtem zastygła, lecz zaraz znów zaczęła drżeć, wstrząsana nagłym dreszczem. Mocno ją trzymał, czując pod palcami skurcze jej napiętych mięśni.

Pragnął jej bardziej, niż mógł sobie wyobrazić. Zanim zdołała uspokoić oddech, objął jej biodra dłońmi i mocno ją trzymając, uklęknął. Całował jej uda, pieścił językiem ich delikatną wewnętrzną skórę i posuwał się coraz wyżej. Znów jęknęła, a potem, nie znając jego imienia, zaczęła tylko powtarzać: proszę, proszę, proszę…

Uśmiechnął się. Tak, da jej to, czego pragnęła, i czego sam pragnął. Nie będzie dłużej czekać. Wstał, wziął ją na ręce i poniósł na miękki dywan traw rozciągający się nieopodal fontanny. Delikatnie ją ułożył i przez chwilę patrzył w zachwycie na kształtne, smukłe ciało i ciemne włosy spływające gęstą falą na ramiona.

Zaraz jednak przykrył ją sobą, rozkoszując się jej ciepłem i miękkością. Na moment znieruchomiał, jakby chciał zatrzymać ten moment w czasie, a potem, nie odrywając wzroku od jej twarzy, mocno ujął przeguby jej rąk. Gdy w nią wszedł, szeroko otworzyła oczy, a potem je zamknęła, wydając gardłowy jęk i unosząc biodra. Na chwilę zastygł w bezruchu, pozwalając jej odczuć swą obecność, zanim znów się zaczął poruszać, początkowo wolno, a potem, w miarę jej gorączkowych błagań, rytmicznie przyspieszając. Objęła go ramionami, przy każdym jego ruchu wbijając mu paznokcie w skórę ramion i pleców, aż w końcu wstrząsnął nią spazmatyczny dreszcz, pozbawiając resztek świadomości. Chwilę później, zjednoczył się z nią w ekstazie z gardłowym jękiem, który wypełnił labirynt echem ich rozkoszy.

Powinna się czuć winna, ale tak nie było. Patrząc w milczeniu, jak okrywał się swą czarną szatą, pragnęła zapamiętać doskonałą harmonię tego gładkiego, muskularnego ciała. Po lewej stronie jego klatki piersiowej dostrzegła wytatuowany kursywą łaciński napis *Amor fati*, czyli: miłość do losu, zaś na skórze jego ramion i pleców wciąż widniały ślady jej uniesień. Wytyczyła tam paznokciami labirynt jasnoczerwonych linii, gorących i namiętnych. Na jej ustach błąkał się uśmiech, gdy leżała naga pod nocnym niebem, upajając się szumem fontanny i magią tej chwili.

Pomyślała, że połączył ich chyba spisek niebios. Wcześniej była tylko z jednym mężczyzną, z Matthew. Myślała, że go kocha. A jednak nie zdawała sobie sprawy z możliwości własnego ciała. Dopiero teraz je pojęła, przepełniona zachwytem i zdumieniem.

Żałowała tylko, że nie mieli przed sobą przyszłości. Zbyt dobrze zdawała sobie sprawę ze swej rangi i roli, by przedkładać przygodę z jakimś nieznajomym nad królewskie obowiązki.

Głęboko westchnęła, sięgając po źdźbło trawy wilgotne od rosy. Mężczyzna odwrócił się do niej, a ona się uśmiechnęła, jakby to, co się stało, było najbardziej naturalną rzeczą na świecie.

– Pomogę ci się ubrać. – Miał głęboki, dźwięczny głos i lekki obcy akcent. Nie umiała go określić. Zakładała, że pochodzi z Taquulu, ale równie dobrze mógł być mieszkańcem któregoś z sąsiednich państw, przybyłym z okazji zawarcia ważnego dla całego regionu traktatu pokojowego.

Sięgnął po jej bieliznę, a ją ściskało w gardle, gdy patrzyła na doskonałą harmonię jego ciała. Ale nie tylko to miało znaczenie. Znała zbyt wielu pięknych i wpływowych mężczyzn, by mogło ją to zaskoczyć.

Głęboko westchnął, gdy zaczęła się ubierać. Nieopodal, za zieloną ścianą labiryntu, odbywała się ważna uroczystość, podczas której miała

towarzyszyć swemu bratu. Niebawem członkowie jej rodu zdejmą maski i staną przed szejkiem Ishkany, by, patrząc w jego odkrytą twarz, ogłaszać zawarcie pokoju. Nagle przeszył ją ostry ból, niwecząc doskonałość tej chwili.

Przecież nadal nienawidziła Haddadów. Wpajano jej tę nienawiść od dziecka i nawet teraz, w wieku dwudziestu pięciu lat, nie umiała o niej zapomnieć, choć wiedziała, że to jedynie tradycyjne uprzedzenie.

Na myśl o tym, że niebawem stanie obok Malika, by powitać szejka Ishkany, ogarniało ją przerażenie. A jednak musiała to zrobić. To, co się wydarzyło w labiryncie, stanowiło akt buntu. Po raz ostatni sekretnie uległa swym pragnieniom. Teraz musiała wrócić do roli, jaka jej był pisana.

– Nigdy nie widziałem czegoś podobnego – mruknął, przesuwając palcami po materii jej sukni, gdy pomagał ją zakładać. Przysunęła się, kładąc mu rękę na ramieniu, by utrzymać równowagę.

– Jest utkana z pajęczego jedwabiu.

Ruchem głowy wyraził zdziwienie.

– Należała do mojej matki – dodała. – Powstała dawno temu, a tkano ją latami. Jedno z zachodnich plemion przędło pajęcze nici i na specjalnych krosnach tkało z nich jedwab. – Przeciągnęła dłonią wzdłuż szaty, po czym obróciła się, by mógł ją zapiąć. – Zasadniczo jest niezniszczalna. Ma symbolizować siłę i odwagę.

Jego dłonie na moment spoczęły na jej biodrach, zanim wrócił do swej czynności.

– Jest ci to potrzebne?

Pomyślała o tym, co ją czeka, i skinęła.

– Tak jak wszystkim, prawda?

Dotarł do ostatniej perły zapięcia i w milczeniu dotknął jej ramion. Obróciła się do niego, spojrzała mu w twarz i się uśmiechnęła.

– Dziękuję. – Choć zabrzmiało to dziwnie, czuła wdzięczność. Wiedziała, że nigdy się już nie zobaczą, ale to, co się wydarzyło, miało dla niej głębokie znaczenie.

Skinął głową na znak, że rozumie.

– Muszę wracać. – Zmarszczyła brew, patrząc w stronę wyjścia z labiryntu,

– Ja też. – Ujął jej dłoń w swoją. – A więc prowadź, *inti qamar.*

Mój księżycu… Uśmiechnęła się na dźwięk tych czułych słów i pewnym ruchem skierowała się ku wyjściu.

– Widzę, że ten labirynt nie ma przed tobą tajemnic.

– Żadnych.

Mogła powiedzieć więcej. Wyznać mu, jak często go odwiedzała, gdyż był jej ulubioną kryjówką. Będąc dzieckiem, przychodziła tu z książką i godzinami leżała na trawie, a ogrodnicy, którzy pielęgnowali ogrody, przynosili jej różne smakołyki. Nie były to przysmaki, jakie podawano w pałacu, gdzie musiała siedzieć wyprostowana i uprzejmie rozmawiać z dziećmi, które rodzice dopuszczali do jej towarzystwa. Tu, w labiryncie, poznała to, co jadano poza murami pałacu – specjały z ulic i targu. Ogrodnicy przynosili lepiące się do palców ciastka, wonne, suszone w słońcu figi, a także faszerowane ryżem i mocno przyprawione ziołami warzywa. Wszystko było proste i naturalne, a każdy kęs miał ożywczy, zdrowy smak. Mogła mu powiedzieć, że spędziła w tym labiryncie jedne z najszczęśliwszych chwil w życiu i że dołączy dzisiejszy wieczór do tych wspomnień.

Ale tylko skinęła, czując, że kobieta, która odważyła się na akt tak śmiały i spontaniczny, znika gdzieś wraz z dawną Joharą. Im bardziej zbliżali się do wyjścia z labiryntu, tym dotkliwiej atakowała ją świadomość tego, co ją czeka.

Przecież nie mogła na zawsze się tam ukryć. Była księżniczką Taquulu, a to niosło ze sobą obowiązki i powinności. Tak jak polecił jej brat, tego wieczoru stanie u jego boku i okaże radość z zawarcia pokoju, a potem, jeśli będzie nalegał, rozważy małżeństwo z Parisem, choć na samą myśl o tym przechodził ją dreszcz.

Opuszczając labirynt, zatrzymała się i wysunęła dłoń z jego dłoni.

– Idź pierwszy – powiedziała zwyczajnie. – Lepiej, by nie widziano, że wychodzimy stąd razem.

Przez moment zdawał się nad tym zastanawiać, a potem skinął. Nie miała pojęcia, co więcej można powiedzieć.

– W innych okolicznościach – mruknął, ujmując jej podbródek – chciałbym cię znów zobaczyć.

Smutno się uśmiechnęła.

– W innych okolicznościach – powtórzyła – ja też bym tego chciała.

Żadne nie wyjaśniło, dlaczego nie jest to możliwe. Nie musieli.

– Dobranoc. – Skłonił się nisko, z szacunkiem, do którego przywykła, toteż przez moment zastanowiło ją, czy nie odgadł, kim jest. Ale nie. Po prostu okazał, jak wiele znaczyło dla niego ich zbliżenie, i to, kim dla niego była. Jej serce tłukło się w piersi, ale zmusiła się do uprzejmego uśmiechu, którym nauczono ją pokrywać emocje.

– Dobranoc… sir.

ROZDZIAŁ TRZECI

Dobranoc, sir…

Jej słowa brzmiały mu w uszach i wciskały się w mózg. Miał wrażenie, że tchnęła w niego jakąś niezwykłą energię. Wysunął się z mroku i ominął jezioro, celowo unikając tych, którzy mogliby go rozpoznać. Ale wchodząc na salę balową nie mógł dłużej ignorować powodu, dla którego przybył do kraju, którego tak nienawidził.

– Wasza Wysokość… – Ahmed, jego stary sługa, wyłonił się z cienia i nisko się skłonił. Amir przystanął, odsuwając myśli o pięknej kobiecie i tym, co z nią przeżył. Teraz ich spotkanie zdało mu się snem, przelotnym i nieuchwytnym.

– Już czas.

Amir skinął.

– Gdzie on jest?

– W sali tronowej.

Zmrużył oczy z determinacją.

– Prowadź.

– Tak jest, sir.

Amir przystanął, słysząc znajome słowa. Szedł obok służącego, całą siłą woli powstrzymując się, by nie spojrzeć za siebie, szukając jej wzrokiem na sali balowej.

Przy wejściu do sali tronowej Ahmed szepnął coś do jednego z dwu stojących na straży wartowników. Nisko się skłonili, po czym otworzyli potężne drzwi.

W ogromnej przestrzeni, która mogła bez trudu pomieścić dwieście osób, było tylko trzech mężczyzn. Tak jak w sali balowej, i tutaj wszędzie lśniły marmury. Ciężkie kolumny podtrzymywały łukowe sklepienia sufitów, a ściany zdobiły gobeliny – purpurowe i złote, haftowane jasnobłękitną nicią.

Amir ruszył przed siebie z naturalną swobodą. Mężczyźni zdjęli maski, a on bez trudu rozpoznał wśród nich Malika Kadira.

– Wasza Wysokość… – Gdy Malik wyciągnął do niego rękę, pozostali dwaj ucichli.

Amir na moment się zawahał. Kipiał z nienawiści i chęci zemsty. Sięgnął jednak do twarzy, by zdjąć maskę, a potem ujął wyciągniętą dłoń Malika.

– Wasza Wysokość… – Skłonił się sztywno na powitanie. Miał wrażenie, że zdradza wszystko, co było mu bliskie. Że witając tego mężczyznę – siostrzeńca mordercy jego rodziców – kala ich pamięć.

– To mój główny doradca, Tarik. – Malik wskazał mężczyznę stojącego po jego lewej stronie. Amir skinął, w ten sam sposób przedstawiając Ahmeda.

– A to Paris, mój przyjaciel i wkrótce małżonek mojej siostry.

Amir ponownie skinął. Nie dodał, że to dla niego przyjemność, ale zmusił wargi do uśmiechu. – A zatem przejdźmy do rzeczy – rzekł krótko.

Oczy Malika zalśniły, ujawniając podobną niechęć. Obaj starali się ją stłumić dla dobra swych królestw i pomyślności poddanych, a nade wszystko po to, by uniknąć dalszego rozlewu krwi.

– Proszę jeszcze o chwilę cierpliwości – mruknął Malik, po czym obrócił się do Tarika, zniżając głos. Dotąd wszyscy mówili tym samym językiem, ale teraz Malik przeszedł na starożytny dialekt, który Amir słabo rozumiał.

– Czekamy na moją siostrę – wyjaśnił po chwili Malik, zwracając się do Amira.

Paris tolerancyjnie się uśmiechnął.

– Często się spóźnia.

Ale Malik był wyraźnie rozdrażniony. Tak jak Amir, nie tolerował tej cechy. Punktualność stanowiła dowód szacunku.

– Czy mógłbym zaproponować coś do picia? – Wskazał stół, na którym ustawiono liczne napoje.

Amir przecząco pokręcił głową.

– A więc po prostu czekajmy.

Trwali w pełnej napięcia ciszy. To nie jest naturalna sytuacja – myślał Amir. Znajdował się w sercu odwiecznie wrogiego kraju, otoczony mężczyznami, którzy jeszcze rok wcześniej by go zabili. I zapewne nadal byli do tego skłonni. Rozmowy pokojowe toczyły się opornie, z obu stron przepełnione emocjami. Dopiero interwencja doradców doprowadziła do obecnej równowagi.

Teraz miał stanąć przed tłumem gości, by podkreślić wagę tego wydarzenia. Postanowił przypomnieć o starożytnej więzi, która ongiś łączyła ich kraje. Bo choć dzieliły je góry, to wiele pokoleń wcześniej biegł tędy ważny szlak handlowy. Nieco chłodniejszy klimat sprzyjał budowie osad i wiosek, które przyciągały mieszkańców obu królestw. Dopiero znacznie później górski łańcuch stał się dzielącą ich barierą.

Postanowił odwołać się do przeszłości, do wspólnoty łączącej ongiś te narody, a także do przyszłości, którą mieli wspólnie zbudować.

– Tak, wiem, wiem. – Johara przygładziła włosy, napotykając w lustrze zaniepokojone spojrzenie służącej. – Jestem już spóźniona.

– I to bardzo. – Athena ściągnęła wargi w cierpkim uśmiechu. – Pani brat czeka w sali tronowej już od piętnastu minut.

Znów ogarnął ją odruch buntu. Naruszanie ustalonych reguł przynosiło jej perwersyjną satysfakcję.

– Przekaż wiadomość, że zaraz będę – mruknęła do jednej ze służących, sięgając do czarnych wstążek, które przytrzymywały maskę. Jej luźno spuszczone włosy spływały na ramiona, ale tego wieczoru chciała nadać im formalny wygląd.

Ujęła swe brązowe loki u nasady karku i zręcznie zwinęła je w węzeł.

– Spinki?

Athena sięgnęła do swych kieszeni, które zdawały się mieścić wszelkie możliwe pomoce i podała kilka Joharze.

– Mogę wezwać stylistę.

– Czy to naprawdę konieczne? – uśmiechnęła się Johara, za pomocą kilku spinek upinając elegancki kok.

– Nie. Jest idealny. Włosy są gładkie i uporządkowane.

W przeciwieństwie do niej. Gdy uniosła dłonie do twarzy, by uszczypnąć się w policzki i dodać im nieco koloru, napłynęły wspomnienia chwil, które przeżyła z tym nieznajomym. Przebiegł ją dreszcz. Czy to się naprawdę wydarzyło?

– Szminka. – Gdy Athena ją podała, Johara musnęła kredką usta. Na koniec skinęła.

– Wystarczy. Idziemy.

Niczym nie zdradzała swego wewnętrznego rozdygotania. Były ważniejsze sprawy. Jej kraj stał nad przepaścią. Należało zapomnieć

o przeszłości. Zacząć od nowa. Nieznajomy mylił się, mówiąc, że nienawiść przetrwa. Pokój i bezpieczeństwo były zbyt kuszące. Wierzyła, że jej naród zapomni o dawnych uprzedzeniach i potraktuje mieszkańców Ishkany jak braci.

Przed drzwiami do sali tronowej przystanęła i spojrzała na Athenę.

– Będziesz mi towarzyszyć.

– Oczywiście. – Athena na moment opuściła wzrok na marmurową posadzkę, jakby i ona chciała zebrać siły przed nadchodzącym wydarzeniem. Tym bardziej, że księżniczka sięgała po jej dłoń, szukając otuchy.

– Załatwmy to w końcu. – Johara westchnęła, nieświadomie powtarzając wcześniejsze słowa Amira. Drzwi się przed nimi otworzyły, a ich wejście przykuło uwagę wszystkich obecnych.

Odruchowo skierowała wzrok ku bratu. Spojrzał na nią ostrzegawczo, jakby się obawiał, że spowoduje jakiś kłopot. Następnie odwróciła się do Parisa, który ciepło się do niej uśmiechał, na co również odpowiedziała uśmiechem. Nie interesował jej jako mężczyzna, ale przyjaźnili się od lat.

Jakiś ruch z boku sali zwrócił jej uwagę. Obróciła się odruchowo w tamtą stronę i omal się nie potknęła. Niezdarnie łapała równowagę, nie wierząc własnym oczom.

Mężczyzna stojący po przeciwnej stronie sali był… bez wątpienia… nieznajomym, któremu się oddała w mroku labiryntu. Wskazywały na to nieomylnie jego ciemne szaty, ale nie tylko. Poznała jego twarz… wyraźnie ją widziała, gdy się całowali.

Czyżby wiedział, kim była? Czyżby to był rodzaj mściwego odwetu?

Nie. Świadczył o tym wyraz jego twarzy, choć przybrał maskę chłodnej poprawności.

– Jo. – Malik podszedł i ujął ją pod ramię. Z ulgą przyjęła jego wsparcie, gdyż świat wokół niej zawirował.

Z trudem łapała oddech, nie mogąc oderwać wzroku od Amira. Widziała, jak drgnął na dźwięk jej imienia. Tak, musiał wiedzieć, kim była. Przecież wyłonił się znikąd i nagle do niej podszedł. Po cóż miałby to robić? To nie mogło być przypadkowe spotkanie.

A jednak nie, nie wiedział. Była tego pewna. Oboje chcieli zachować anonimowość. Byli dwojgiem ludzi bez twarzy, narodowości i imienia. Połączyło ich tylko wzajemne pragnienie.

Opuściła głowę, z coraz większym trudem się poruszając, w miarę jak docierało do niej znaczenie tego wydarzenia.

Wykorzysta to, by ją zniszczyć. By zniszczyć jej brata. Gdyby Malik wiedział, co zrobiła… Wielkie nieba!

Ogarnęła ją panika.

– Uspokój się – mruknął Malik pod nosem. – Świętujemy pokój, pamiętaj. To już nie jest nasz wróg, a ty wyglądasz, jakbyś chciała go zabić.

Ocknęła się i oderwała wzrok od Amira, szejka Ishkany, kierując spojrzenie na brata.

– Bo bym chciała.

Spojrzał na nią z rozbawieniem, po czym pokręcił głową, nachylił się i szepnął:

– Ja również, ale moi doradcy twierdzą, że to zły pomysł.

Zmusiła się do uśmiechu. W tej chwili podszedł do nich Paris, który przyjaźnie położył dłoń na jej dłoni i pocałował ją w policzek. Było to zwykłe powitanie dwojga starych przyjaciół, ale po tym, co przeżyła chwilę wcześniej, odruchowo się cofnęła. Potrzebowała przestrzeni. Samotności. Nie mogła na to liczyć. Rozgrywały się sprawy znacznie ważniejsze niż jej życie osobiste.

– Amirze… – Malik zwrócił się do niego po imieniu, a on nie zaprotestował. W tym momencie usiłował tylko pojąć, co się stało.

To była… Johara? Księżniczka Taquulu? Ta kobieta, z którą godzinę wcześniej uprawiał namiętny seks?

Nie, to niemożliwe! A jednak… Gdy jej szata zafalowała, przypomniał sobie, jak trzymał ją w objęciach, jak czuł jej nagie ciało. Teraz jednak, gdy kroczyła z wyniosłą twarzą, starannie upiętymi włosami i nieskazitelnym makijażem, widział w niej jedynie kobietę z rodu Kadirów.

Jej rodzice pałali nienawiścią do jego rodziców. Johar Kadir, który ich zamordował, był jej wujem. Nosiła jego imię.

Poczuł nagle, że ogarniają go mdłości. Wprost kipiał nienawiścią.

– To moja młodsza siostra, Johara, księżniczka Taquulu – rozległ się głos Malika.

Stanęli na wprost siebie, nie spuszczając wzroku. W jej oczach czaił się lęk graniczący z paniką. Dlaczego? Czyżby sądziła, że zamierza ujawnić ich sekret?

Lekko mrużąc oczy, wyciągnął rękę.

– Miło mi poznać.

Jej twarz rozjaśniła chwilowa ulga. Nie było na niej uśmiechu. Jakże inaczej niż tam, w labiryncie. Nie wiedziała wtedy, kim był. Tak jak on nie wiedział, kim jest ona.

Ale jak mógł przeoczyć to, co zdawało się teraz oczywiste – jej znajomość meandrów labiryntu, suknię tkaną z pajęczego jedwabiu… Miał przecież bezsporne dowody jej rangi i pochodzenia. Był jednak zbyt zaślepiony, by je dostrzec. Zbyt silnie na niego działała.

– Mnie również. – Miała amerykański akcent. Dlatego wziął ją za cudzoziemkę, która przybyła do Taquulu z okazji tej uroczystości. Teraz jednak przypomniał sobie informacje, które uzyskał przed przyjazdem do

Taquulu. Wynikało z nich, że matka księżniczki była Amerykanką, a Johara uczęszczała do szkół w Ameryce i mieszkała tam przez kilka lat.

– Jesteś rozpalona. Dobrze się czujesz? – zaniepokoił się stojący obok niej Paris. W tym momencie Amir przypomniał sobie, że Malik przedstawił go słowami: „mój przyjaciel i wkrótce małżonek mojej siostry”.

– Nic mi nie jest. – Miała przynajmniej tyle przyzwoitości, by czuć się zawstydzona.

– Wasza Wysokość, czas zacząć.

Wszystko zdawało się mgliste. Gdy ogłaszano zawarcie traktatu, Johara stała między swym bratem i Parisem. Dla uczczenia tej ważnej uroczystości na niebie wybuchły fajerwerki, zarówno nad pałacem, jak i w całym kraju. Nastał pokój. Wszyscy się uśmiechali, gorliwie wyrażając aplauz, a na koniec głośno zaczęli wiwatować. Johara uśmiechała się razem z nimi i potakiwała, gdy przemawiał jej brat. Ale to wystąpienie Amira do głębi ją poruszyło.

– Zbyt długo patrzyliśmy na śmierć naszych braci – zwrócił się do zebranych. – A przecież chodziło tylko o to, kto się urodził po której stronie gór. Ta wojna była przekleństwem dla nas wszystkich. Kiedyś tworzyliśmy potężne, zjednoczone społeczeństwo zdolne do osiągnięcia każdego celu. Radował nas wspólny dobrobyt, a nasza siła budziła lęk. Czas najwyższy zapomnieć o nieszczęsnym minionym stuleciu. Czas zbudować pokój, i to pokój trwały. Nie tylko na przyszłe wieki, lecz na tysiąclecia.

Jak zahipnotyzowana patrzyła w jego głębokie, ciemne oczy, które przenikały tłum.

– To wymaga trudu. Musimy puścić w niepamięć wszystko, co nam przez lata wpajano. Odnaleźć pod powierzchnią uprzedzeń to, czego pragną oba nasze narody, prawdę o tym, co się naprawdę tam kryje. Piekarz

z Ishkany niczym się nie różni od piekarza z Taquulu. Widzimy te same gwiazdy, wielbimy jednego boga, tańczymy w rytm tej samej muzyki, słuchamy tych samych bajek. Znów możemy stać się jednością.

Obrócił się, by spojrzeć na Malika, ale jego wzrok na moment zatrzymał się na niej. Musiał dostrzec, jak silne wrażenie wywarły te słowa.

– Dziś zaczyna się dla nas nowy czas. Czas pokoju.

Na sekundy zapadła cisza, a potem wybuchły entuzjastyczne oklaski. Nikt, kto miałby wątpliwości, czy ludzie pragną pokoju, nie potrzebował więcej dowodów. A wrażenie, jakie Amir wywarł na tłumie najważniejszych osobistości w Taquulu, potwierdzało jeszcze magnetyczną moc jego osobowości.

Zresztą nie było jej to potrzebne.

Kiedy oficjalna część uroczystości dobiegła końca, dyskretnie opuściła podium, lekkim skinieniem pożegnała Parisa i wsunęła się za grube, złociste kotary rozwieszone na obrzeżach sali balowej. Szła szybkim krokiem, rozpaczliwie łaknąc powietrza – przestrzeni, w której mogłaby złapać oddech. Skierowała się w stronę długiego korytarza i niebawem dotarła do widocznych na końcu szklanych drzwi.

Owionęło ją chłodne powietrze pustyni, gdy je pchnęła i wyszła na mały balkon. Otwierał się stąd widok na ptaszarnię, w której szejk trzymał swe ulubione sokoły. Dalej na horyzoncie rysowały się ostro kontury drzew, a za nimi rozciągała się pustynia. Lekka bryza unosiła w powietrze piaszczysty pył, toteż z każdym oddechem wciągała w nozdrza cierpki zapach iłu, który nieodmiennie przypominał jej dzieciństwo.

– Wasza Wysokość…

Zesztywniała, zaciskając dłonie na poręczy. To był jego głos. Czy wiedziała, że za nią podąży? Nie. A jednak nie była zdziwiona.

Wolno się odwróciła, by stawić mu czoło, a przynajmniej próbować to zrobić. Ale nic nie mogło przygotować jej na to, co miało nastąpić. Bo choć stał tak blisko, że mogłaby go dotknąć, z jego twarzy bił lodowaty chłód. A nawet gniew. Widziała, że próbuje nad nim zapanować, lecz czuła go wręcz fizycznie.

– Nie wiedziałam, kim jesteś – wyrzuciła pospiesznie. – Nie miałam pojęcia.

Ale jeszcze wymawiając te słowa, zdała sobie sprawę, że nie są w pełni prawdziwe. Bo nawet gdyby tak było, nie zdołałaby mu się oprzeć.

– A więc po prostu skorzystałaś z okazji, by przespać się z obcym mężczyzną za plecami swego narzeczonego? – syknął przez zęby.

– Ja… – Zmarszczyła brwi. – Ja nie mam narzeczonego.

Był zaskoczony.

– To mój brat życzy sobie, bym go poślubiła – dodała z naciskiem. – A to niezupełnie to samo. Ostatnio sprawdziłam, że wciąż mam w tej sprawie coś do powiedzenia.

Opuścił głowę.

– Wprowadzono mnie zatem w błąd. Przepraszam.

Była zdumiona, że tak naturalnie uznał swą winę. Ale jego głos, choć szczery, wciąż tchnął lodowatym chłodem.

– Nosisz jego imię.

Spojrzała pytająco, lecz zaraz zrozumiała. Powinna była pamiętać o tej krwawej zbrodni ciążącej na historii obu ich rodzin.

– Mówisz o moim wuju, Joharze? No tak…

– Na jego cześć.

– Urodziłam się, zanim on…

Ramiona Amira zesztywniały.

– Zamordował moich rodziców?

Boleśnie zmrużyła oczy.

– Tak.

– A wcześniej przez długi czas pałał do nich śmiertelną nienawiścią.

– Sam mówiłeś, że nasze narody tym żyły. Przed chwilą apelowałeś, by wyzbyć się uprzedzeń w imię dawnej przyjaźni. – Przerwała, dopiero teraz czując, jak sama tego pragnie. – Nie mówmy więc o Joharze, gdy nastał czas pokoju.

– Publicznie muszę nawoływać do pokoju, ale prywatnie mam prawo do własnych uczuć. – Patrzył na nią przez kilka sekund, a potem skierował wzrok dalej, ponad wolierę, ku pustynnej równinie lśniącej teraz srebrzyście w świetle księżyca. – Zresztą wolałbym o tym z tobą nie rozmawiać.

– Gdybyś wiedział, kim jestem… – zawiesiła głos.

– Czy dopuściłbym do tego, co się stało? – Zacisnął usta. – Nie.

– Myślisz, że zdołałbyś się powstrzymać?

Ponownie skierował na nią wzrok i wtedy zobaczyła w nim coś, co dostrzegła już wcześniej, choć tego nie pojmowała. Stała przed królem. Potężnym władcą, który urodził się, by rządzić. W pełni tego świadom roztaczał wokół naturalną aurę wyższości i władzy. Czuła to od pierwszej chwili, a teraz mimowolnie zadrżała, gdy ją dobiegł jego lodowaty głos:

– Bez wątpienia.

Opuszczała ją pewność siebie, ale nie mogła dopuścić, by przekreślił wszystko, co wspólnie przeżyli.

– Mylisz się. – Zrobiła krok, chcąc położyć mu dłoń na piersi, lecz on gwałtownie się cofnął, a jego oczy błysnęły ostrzegawczo. Ból ścisnął jej serce. Przecież nie mógł wszystkiemu zaprzeczyć. To, co ich połączyło, było prawdziwe. Było ważne.

– Coś jednak zmusiło nas do tego.

Skrzywił się z dezaprobatą.

– To był błąd.

Pokręciła przecząco głową. Stała nieruchomo, lecz jej ciało drżało z pragnienia, by go dotknąć.

– Powiem wprost – rzekł mocnym, surowym głosem. – Gdybym wiedział, że jesteś z rodu Kadirów, nigdy bym cię nie dotknął. Nie odezwałbym się do ciebie. Zawsze będę żałował tego, co się stało, Joharo. – Jej imię zabrzmiało w jego ustach jak najgorsza obraza. – Tego wieczoru zdradziłem siebie, moich rodziców i wszystko, w co wierzę.

Ból rozpierał jej piersi. Nie znajdując słów, zamrugała, by powstrzymać łzy.

– Ja nie jestem moim wujem Joharem. Nie mogę odpowiadać za moich rodziców ani mojego brata – odezwała się w końcu ze spokojną godnością, choć jej głos lekko drżał. – Chyba nie możesz nienawidzić mnie tylko z powodu rodziny, w której się urodziłam?

Jego spojrzenie przeszyło ją na wskroś.

– Przykro mi, Wasza Wysokość. Ale właśnie tak jest.

ROZDZIAŁ CZWARTY

– To ważne.

– To niebezpieczne. – Paris rzadko okazywał gniew, ale tym razem podniósł głos. Johara obserwowała z narastającym rozdrażnieniem, jak dyskutują z Malikiem o jej losie.

– Pokój już zaczyna się chwiać, i to zaledwie osiem tygodni od zawarcia traktatu. Musimy umocnić nasze więzi, podkreślić ich wiarygodność. – Malik obrócił się do Johary. – Z niechęcią o to proszę, siostro, ale nadszedł czas, byś zaczęła wywiązywać się ze swych obowiązków.

Nie odpowiedziała, jedynie uniosła brew, milcząco oczekując, co powie.

Przykucnął przed nią.

– Jesteś moją siostrą, kocham cię i chcę twojego szczęścia. Ale teraz cię potrzebuję. Ktoś musi tam pojechać, by dać wyraz naszym pokojowym intencjom, a ja nie mam na to czasu.

Zignorowała lekceważący sposób, w jaki próbował przedstawić tę misję. Mogłoby się wydawać, że sprowadza się ona do uśmiechów przed kamerami i uścisków dłoni, a tymczasem oznaczała wyprawę w głąb wrogiego terytorium i próbę zjednania niechętnej ludności Ishkany.

– To ty powinieneś jechać – odezwał się cicho Paris, patrząc na Malika rozognionym wzrokiem. – Na krótką wizytę.

Malik westchnął.

– Wiesz, że są sprawy, które wymagają mojej obecności tutaj.

– A więc wyślij jakiegoś dyplomatę. Albo któregoś z kuzynów.

– Nie, to nie może być rutynowa wizyta. Musi wywrzeć na tamtejszym społeczeństwie równie silne wrażenie, jak wizyta Amira u nas.

– Widać nie było tak silne – odparował Paris – skoro trwają nieustanne niepokoje.

– Szejk Amir miał rację. Musimy się zjednoczyć w naszych staraniach. – Johara wstała i podeszła do okna, które wychodziło na cytrusowe gaje. Ich układ stanowił replikę pałacowych ogrodów Francji, gdyż każde z drzew otaczały krzewy lawendy, a różnorodne rośliny odgradzał od siebie biały żwir.

Paris i Malik zamilkli w oczekiwaniu.

– Przeraża mnie myśl o wyprawie do Ishkany – wyznała.

Tak było, ale z przyczyn, których nigdy by nikomu nie wyjawiła. Od pamiętnej rozmowy na balkonie próbowała zapomnieć o Amirze, a teraz ma go odwiedzić jako oficjalny gość?

– A więc tam nie jedź – mruknął Paris.

– Muszę. – Obrzuciła go zdawkowym uśmiechem. Był dobrym przyjacielem, ale im dłużej przebywała w Taquulu, tym bardziej zdawała sobie sprawę, że nigdy nie mogłaby go poślubić. Nie wątpiła w jego głębokie oddanie, ale to nie wystarczyło. Powinna z nim porozmawiać, uprzedzić, by się nie łudził. Nie chciałaby go zranić, ale jego opiekuńczość znacznie wykraczała poza służbowe obowiązki.

– Malik ma rację. Musimy przekonać mieszkańców Ishkany o szczerości naszych intencji – oznajmiła spokojnie. – A nasi poddani też muszą uwierzyć, że zamierzamy dotrzymać warunków traktatu. Dlatego udam się do Ishkany z pokojową wizytą. Będę uczestniczyć w uroczystych kolacjach i przemawiać w parlamencie. A także zwiedzać starożytne ruiny i biblioteki, uśmiechając się do kamer. Czy o to ci chodzi, Mal?

Mruknął coś, niewyraźnie przytakując.

– Wiesz, jak trudno mi cię o to prosić.

Machnęła tylko dłonią.

– Gdybyś tak nie zrobił, sama bym to zaproponowała. Tak będzie najlepiej dla wszystkich.

– Nie, Joharo. Będziesz narażona… – wciąż oponował Paris.

– Będę gościem ich króla, prawda?

Malik skinął, milcząco potwierdzając.

– I zatrzymam się w jego pałacu.

Kolejne skinienie.

– A zatem ufam, że Jego Wysokość zapewni mi bezpieczeństwo.

– Załóżmy… – Paris nie krył wątpliwości.

W tym momencie Malik uniósł dłoń.

– Uważam Amira za człowieka honoru – zwrócił się do siostry. – Jest z rodu Haddadów, więc z zasady nie można mu ufać, wierzę jednak, że skoro zaprasza cię do swego pałacu, zrobi wszystko, by włos nie spadł ci z głowy.

Serce Johary na chwilę zamarło.

– To znaczy, że szejk Amir mnie zaprosił?

Malik uśmiechnął się zdawkowo.

– Sugestia nadeszła kanałami dyplomatycznymi bez wskazania konkretnej osoby. Sam wpadłem na to, by powierzyć tę misję tobie.

– Oczywiście. – Szybko się odwróciła, by ukryć wyraz zawodu. Czego się spodziewała? Że dwa miesiące po tym, jak widzieli się po raz ostatni, rozwinie przed nią czerwony dywan? Bardzo jasno wyraził wtedy swoje stanowisko.

„To był błąd”. Jej serce mocniej zabiło. Nieprawda. To były najpiękniejsze chwile w jej życiu i nie da ich sobie odebrać.

– A więc się zgadzasz?

Zastanawiała się, jak to będzie, gdy wjedzie do jego królestwa. Do pałacu. Nie było to dotąd bezpieczne. Widziała zdjęcia i wiele wiedziała o historii tego kraju, ale zobaczyć go na własne oczy? Ogarniała ją ciekawość i to jej przypisała wzmożony rytm serca.

– Tak, Mal. Pojadę do Ishkany.

Pod wielu względami było tu tak samo jak w Taquulu. Piasek miał ten sam odcień, upał parzył równie bezlitośnie, a i drzewa były znajome. Ale w miarę jak limuzyna zbliżała się do pałacu, ogarniał ją niepokój oczekiwania. Gdy jechali wysadzaną palmami aleją, dostrzegła w głębi wielobarwny targ. Samochód zmuszony był zwolnić, gdyż po drodze błąkali się piesi, którym najwyraźniej się nie spieszyło. Dzięki temu Johara mogła się lepiej wszystkiemu przyjrzeć. W cieniu straganu o jaskrawych barwach siedziała stara kobieta nad staroświeckim kołowrotkiem. Bez wysiłku wprawiała go w ruch, naciskając pedał, co zapewne wykonywała niezliczoną ilość razy w swym długim życiu. Podczas gdy z drewnianego koła spływała jaskrawoczerwona wełna, siedząca obok kobieta coś do niej mówiła, zanosząc się śmiechem. Na następnym stoisku sprzedawano przyprawy ułożone w wysokie piramidy, a kolejny stragan oferował słodycze. Rozpoznała w nich wiele z zakazanych delicji, których ongiś dostarczali jej pracujący w labiryncie ogrodnicy. A gdy samochód zbliżał się do bram pałacu, zobaczyła coś, co ścisnęło jej serce. W cieniu wielkiego starego parasola tłoczyła się grupa wynędzniałych ludzi w brudnych, łachmanach. Nachyliła się do kierowcy, polecając mu, by się zatrzymał.

Wcisnął hamulec, rzucając jej przez ramie zdumione spojrzenie.

– Ależ, Waszą Wysokość…

– Chwileczkę – oznajmiła z całą stanowczością, po czym otworzyła drzwi i wyszła z samochodu. Z miejsca zaatakował ją bezlitosny żar słońca, wyciskając na czole krople potu. Otarła je i ruszyła w stronę grupy nędzarzy. Było ich około osiemnastu. Miała świadomość, że jeden z funkcjonariuszy pałacowej ochrony wysiadł z konwojującego ją samochodu i podąża tuż za nią. Rozdrażniona tym natręctwem, zmierzyła go lodowatym spojrzeniem, po czym z uśmiechem podeszła do zgromadzenia.

– Ależ tu gorąco – zwróciła się do kobiety z dzieckiem na rękach. Malec spojrzał na Joharę ogromnymi, brązowymi oczami.

– O tak, bardzo.

– Musicie być spragnieni i pewnie z chęcią byście się napili lemoniady – powiedziała z uśmiechem. Kobieta szeroko otworzyła oczy i pokręciła głową.

– To niemożliwe.

– Proszę. – Johara sięgnęła między fałdy swej lnianej sukni i wyjęła garść banknotów. Podała je matce dziecka, wskazując dłonią pozostałych. – Proszę, kupcie sobie za to coś do jedzenia i picia. To dla was wszystkich.

– Ale… to bardzo wiele…

Joharę ściskało serce, a jednocześnie ogarniał ją gniew. Jak Amir mógł dopuścić, by u progów jego pałacu istniała taka nędza? To prawda, Taquul nie mogłoby świecić przykładem, ale to, co tu zobaczyła, było karygodne. Wyciskało łzy.

– Proszę… – Nachyliła się i pogładziła dziecko po głowie. Początkowo malec nie reagował, ale po chwili cicho zachichotał, więc powtórzyła swój gest.

– Lubi panią – powiedziała wzruszona kobieta. – Już od dawna się nie śmiał.

– To smutne – odparła Johara. – Ma taki piękny uśmiech.

Obróciła się, by odejść, ale nim zrobiła trzy kroki, zatrzymał ją głos tej kobiety.

– Jak się panienka nazywa?

Stanęła, świadoma, że nadszedł moment przełomowy. Skoro przybyła tu, by zdobyć serca mieszkańców, powinna zacząć teraz.

– Jestem Johara Kadir – odparła spokojnym, przyjaznym tonem.

W grupie zebranych rozległ się szmer wzburzenia, ale górował nad nim głos kobiety z dzieckiem.

– Dziękujemy, Wasza Wysokość. – Nisko się skłoniła.

A więc ci ludzie wiedzą, kim jestem – pomyślała z zadowoleniem Johara, odwracając się i na odchodnym obdarzając ich szczerym uśmiechem.

Agent ochrony ruszył za nią do samochodu.

– Wasza Wysokość nie powinna tego robić – odezwał się surowo, otwierając jej drzwi.

Johara nie kryła zdziwienia. W Taquulu służba nigdy by się nie odważyła odezwać w ten sposób do gościa.

– Słucham? A to dlaczego?

– To niebezpieczne, a nasz szejk zobowiązał się wobec pani brata do zapewnienie pani bezpieczeństwa. To oznacza, że nieustannie będzie nad tym czuwał. Jeśli będzie pani podejmować tak ryzykowne kroki, może zatrzymać panią w pałacu.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Zatrzymać… mnie… w pałacu?

Ochroniarz wyprostował ramiona.

– Musimy jechać. Szejk będzie czekać.

Ogarnęła ją fala emocji. Na myśl, że Amir czeka, przyspieszyło jej serce.

Wsunęła się do wozu, machając na pożegnanie swej nowo poznanej sojuszniczce, gdy samochód wjeżdżał w pałacowe bramy, i jednocześnie nie mogąc opanować nerwowego drżenia.

Widok pałacu olśniewał. Zaskoczyło ją, jak dalece różnił się od tego, co widziała na fotografiach. O tak, gmach był ogromny i onieśmielał swym majestatem. Wiedziała, że stare kamienne fundamenty, wydrążone w skale jaskinie i podziemne tunele, które jak opowiadano, prowadziły aż do pasma gór, powstały jeszcze w piętnastym wieku. Pozostałą część pałacu zbudowano wiek później. To wtedy wzniesiono imponującą fasadę z białego kamienia bogato zdobioną złotymi detalami. Z tego okresu pochodziły też kolorystycznie dobrane do nich dachy – złociste, turkusowe i miedziane, a także wysokie łukowe okna. Wokół całej budowli biegła fosa wypełniona kryształowej czystości wodą, równie błękitną jak przejrzyste wody Morza Śródziemnego.

Samochód zatrzymał się przed monumentalnym wejściem do pałacu. Służba i straż czekali w gotowości na jej przybycie, a u szczytu schodów stał on, Amir.

Jego Wysokość Szejk Ishkany.

Choć drżała każdym nerwem, nie dała temu wyrazu. Gdy ochroniarz, unikając jej wzroku, otworzył drzwi samochodu, wyszła dotkliwie świadoma, że wszyscy na nią patrzą, a przede wszystkim on. Czuła na sobie również wzrok fotografa. Wiedziała, że nazajutrz jej zdjęcia opublikują wszystkie gazety w obu krajach, a także na świecie.

Jednak najbardziej dotkliwie była świadoma obecności Amira. Właśnie schodził ze schodów, by ją powitać. Całą siła woli narzuciła sobie oficjalny wyraz twarzy, gdy wyciągał do niej rękę. Podała mu dłoń, a wtedy cały świat się zatrzymał. Z trudem łapała oddech. Wpatrywała się w niego oszołomiona, nie spodziewając się, że wciąż tak na nią działa.

Cofnęła szybko dłoń, jakby jego dotyk ją parzył, nie troszcząc się o to, czy fotograf zdołał wykonać odpowiednie zdjęcie.

– Witam Waszą Wysokość – usłyszała jego głęboki głos. I choć nie brzmiało w nim nic szczególnego, miała wrażenie, że wyraża odrazę. Tak jak owego wieczoru, gdy wymówił jej imię z pogardą, jakby je potępiał.

– Witam – odparła tonem bez wyrazu.

– Uśmiechnij się do kamer – szepnął, nachylając się ku niej tak, by tylko ona go słyszała. Spojrzała więc w kierunku, który wskazał, i na widok fotografa przywołała na usta sztuczny uśmiech. Stali tak przez chwilę, po czym szejk poprowadził ją do pałacu, kładąc jej dłoń na plecach. To przeważyło. Nie wiedziała, czy bardziej pragnie odtrącić jego dłoń, czy rzucić mu się do stóp i błagać o więcej.

Wolno stawiała stopę za stopą, aż w końcu pokonali schody i weszli w długi, chłodny korytarz. Dopiero wtedy gwałtownie się odsunęła.

Jeśli nawet to dostrzegł, nie okazał reakcji.

– Jak minął lot?

Jakby cię to obchodziło… – miała na końcu języka. Ale wiedziała, że gdyby zrzuciła maskę poprawności i zaczęła się spierać, nic by to nie dało.

– Dobrze.

– Byłoby jeszcze lepiej, gdybyśmy mogli naprawić i odtworzyć dawne górskie szlaki. Skróciłoby to jazdę do kilku godzin.

Podniosła na niego wzrok.

– Masz takie plany?

Ruszył w głąb pałacu, a ona podążyła w ślad za nim.

– Czemu nie? Nasze państwa przez wieki łączyły łatwe szlaki komunikacyjne. Zostały zamknięte dopiero w związku z konfliktem.

– Zamierzasz przywrócić handel? – spytała.

– Oczywiście.

Skinęła z namysłem.

– Mimo że ten pokój jest nadal kruchy?

– Spodziewałem się tego. – Wzruszył ramionami. Chyba nie wierzyłaś, że wszystko gładko się potoczy dlatego, że Malik i ja podpisaliśmy umowę?

Uniosła brwi.

– Ja… miałam nadzieję.

– Tak… – Jego słowa zabrzmiały zagadkowo. – Miałaś nadzieję.

– Nadal sceptycznie na to patrzysz?

Dotarli do pary ciemnych drewnianych drzwi, przed którymi stało czerech wartowników. Wskazał, by szła przodem. Zrobiła tak, nie patrząc, dokąd idzie, lecz gdy znalazła się wewnątrz, zdumienie odebrało jej mowę. Głęboko wciągnęła powietrze. Myślała, że wchodzą w głąb pałacu, tymczasem pomieszczenie, w którym się, znalazła, było oazą zieleni. Przed nimi płynął strumień, nad którym wzniesiono kładki z ciemnego drewna. Ściany również wykonano z ciemnego drewna, ale obrastały je bujne pnącza, których długie pędy sięgały w każdy zakątek pokoju. Johara wyciągnęła rękę i przesunęła palcami po aksamitnej powierzchni jednej z roślin.

Amir uważnie się jej przyglądał.

– Gdzie my jesteśmy? – Obróciła się do niego, nieświadoma, że się uśmiecha. Ten pokój wyzwalał dobrą energię.

– To moje prywatne apartamenty, a zarazem jedna z najstarszych części pałacu.

Skinęła, spoglądając na sufit. Dostrzegła w nim kilka otworów ukazujących niebo. Mogła sobie tylko wyobrażać, jakie wrażenie musi to wywierać nocą.

– Nigdy o tym nie słyszałam. Nie ma żadnej informacji na ten temat. – Oblała się rumieńcem. – To znaczy w książkach.

Uniósł brew.

– Uczyłaś się o moim kraju?

– Gdy byliśmy dziećmi, mój brat i ja, wiele nas uczono o Ishkanie.

– I o tym, jak nas nienawidzić?

Jej oczy zalśniły.

– Tak jak ciebie uczono nienawiści do nas.

– Zrozumiałem to dopiero, mając dwanaście lat.

Patrzyła na niego, nie wiedząc, o co mu chodzi.

Amir wszedł do apartamentów.

– Byłem w tym wieku, gdy zamordowano moich rodziców.

Serce jej zamarło na myśl o chłopcu, którym wtedy był. Chciała wyrazić żal, mówić o swym współczuciu, ale w ich sytuacji wszelkie słowa zdawały się niewłaściwe. Powiedziała więc tylko:

– To musiało być bardzo trudne.

Stał, milcząc, z wyniosłą twarzą i ściągniętymi rysami. Gdzie był mężczyzna, który ją całował w labiryncie? Jakże to było dawno! Dla niego umiałaby na pewno znaleźć właściwe słowa. Nie musiałaby się nad tym zastanawiać.

– To pokój przeznaczony jedynie dla mnie i gości, których tu zaproszę. – Przechylił głowę. – Zapewne wiesz, jak trudno zapewnić sobie

prywatność w pałacu.

– Owszem. – Skinęła, rozglądając się wokół. Z każdą chwilą dostrzegała więcej szczegółów, które ją zachwycały. W odległym kącie leżał stary dywan w złocistych i purpurowych barwach, a na nim rozrzucono kosztowne, miękkie poduszki.

– Dziękuję, że mi go pokazałeś.

Obrócił się, by na nią spojrzeć. Jego oczy miały blask gładzonego onyksu.

– Chciałem z tobą pomówić. Sam na sam.

Jej krew zaczęła gorączkowo pulsować, serce waliło młotem. Celowo ruszyła w stronę stojącego pośrodku ogromnego figowca.

– Doprawdy, Amirze?

Wymawiając jego imię, poczuła ulgę, choć było to również wyzwanie. Nie spojrzała jednak na niego, by sprawdzić, jak zareaguje.

– Od czasu tamtego balu minęło dwa i pół miesiąca – zaczął.

Wpatrywała się w delikatne żyłki na liściach figowca, całą siłą woli hamując swe emocje.

– A więc do tej pory już byś wiedziała.

– Wiedziała?

– Czy tamta noc ma dalsze konsekwencje.

Konsekwencje? Jej mózg przestał pracować. Upał i spotkanie z nim tak ją oszałamiały, że dopiero po chwili zrozumiała, o co mu chodzi. Jednocześnie uświadomiła sobie, że aż do tej pory nie przyszło jej to na myśl.

– Chcesz zapytać, czy jestem w ciąży?

Pokój zastygł w ciszy. Listki pnączy przestały łagodnie szeleścić, strumień się zatrzymał, nawet słońce nad nimi przygasło.

– A jesteś?

Dławiło ją serce. Przełknęła ślinę i powoli się do niego obróciła.

– A gdybym była, Amirze?

Tym razem widziała, jak w jego oczach rozbłysł gniew.

– Nie będę się bawił w hipotezy.

Ogarnęła ją niedorzeczna irytacja.

– Skoro zadałeś pytanie, mam prawo odpowiedzieć moim pytaniem. Co byś zrobił, gdyby tak było?

Nagle stał się nieprzystępny, obcy i onieśmielający.

– A czego byś ode mnie oczekiwała?

Mogła się tego spodziewać.

– O nie! Najpierw odpowiedz na moje pytanie.

– Sądzisz, że powiedziałbym coś romantycznego, Joharo? Że oświadczę, że dla dobra dziecka chcę zapomnieć o naszej odwiecznej wojnie i cię poślubić?

Zacisnęła usta. Obraz, który odmalował, był bolesny, a zarazem nierealny. Potrząsnęła głową, choć sama nie wiedziała, czego właściwie pragnie.

– Ale nawet dla dobra naszego dziecka nie zrobiłbym tego. Zbyt mocno nienawidzę twojej rodziny, bym mógł cię na to narażać. Zasługujesz na lepszy los.

– Myślisz, że małżeństwo z tobą byłoby dla mnie karą?

– Tak, dla nas obojga.

– Dlaczego, Amirze?

Zbliżył się tak, że czuła ciepło jego oddechu.

– Bo nigdy nie umiałbym ci wybaczyć, Joharo. – Jej imię zabrzmiało w jego ustach tak jak wtedy, gdy wymówił je pierwszy raz. Jakby nagle

w pokoju rozległ się świst bata, który w końcu opadł na jej plecy.

– Czego? Co ja takiego zrobiłam? Co masz mi wybaczać?

– Rzecz nie w tym, co zrobiłaś lub nie.

– Tylko w tym, kim jestem? W tym, że należę do królewskiej rodziny Kadirów?

Nie musiał odpowiadać. Wyraz jego twarzy mówił za niego.

– Więc to, co przeżyliśmy tamtej nocy, niczego nie zmienia?

– Popełniliśmy błąd. Niewybaczalny.

– Jak możesz tak mówić, skoro trudno sobie wyobrazić coś równie wspaniałego?

Na chwilę przymknął oczy, ale zaraz przeszył ją twardym spojrzeniem.

– To był tylko seks.

Patrzyła na niego oniemiała. To było brutalne i niesprawiedliwe. Nie spodziewała się tego.

– Nie byłaś dziewicą. Uprawiałaś już seks.

Piekły ją oczy, lecz dopiero po chwili uświadomiła sobie, że wzbierają w nich łzy. Gwałtownie zamrugała, by je powstrzymać.

– A więc ta noc nie ma dla ciebie żadnego znaczenia?

Patrzył na nią bez słowa, coraz boleśniej ją raniąc swym milczeniem.

– Przyprowadziłem cię tutaj jedynie po to, by się dowiedzieć, czy tamtej nocy nie poczęliśmy naszego dziecka.

Serce gwałtownie jej zabiło, gdy wyobraźnia podsunęła jej obraz pulchnego malca o ciemnych lokach i wielkich czarnych oczach. Odwróciła się, by nie widział jej twarzy.

– Nie jestem w ciąży, Amirze. Nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań.

Odetchnął tak gwałtownie, jakby dotąd wstrzymywał oddech. Chciała się odwzajemnić, zranić go równie mocno jak on ją, lecz uświadomiła sobie, że to niemożliwe. Czy można zranić skałę? Teraz naprawdę go poznała. Był nieczuły i nieustępliwy. I nie zamierza się zmienić.

– A zatem, skoro to wszystko, proszę zaprowadzić mnie do mojego apartamentu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Johara delikatnie wzięła w palce kawałek pekanowego chleba.

– To się nazywa *albaqan raghif* – objaśnił, a jego oddech musnął jej policzek. Z trudem powstrzymała odruch, by się do niego nachylić. Widzieli się po raz pierwszy od przedpołudniowej rozmowy. Johara przez większość dnia zwiedzała pałac. Królewski doradca oprowadzał ją po starożytnych salach bibliotek, galeriach sztuki i korytarzach zdobnych w gobeliny bliźniaczo podobne do tych, które wisiały w pałacowych wnętrzach Taquulu. Ich widok napełniał ją zarazem smutkiem i nadzieją. Smutek towarzyszył myśli, że dwa sąsiadujące ze sobą narody o bogatej wspólnej historii wyniszczały się przez wieki krwawą wojną, zaś nadzieję czerpała z wiary, że ta wspólna historia stanie się fundamentem pokojowej przyszłości.

Teraz jednak, gdy siedziała obok Amira na honorowym miejscu pośród licznie zgromadzonych ministrów rządu Ishkany, skupiała się na czym innym. Przybyła tu z oficjalną wizytą jako reprezentantka Taquulu i bez względu na to, co czuła w stosunku do mężczyzny siedzącego po jej prawej ręce, musiała godnie wypełnić swą misję.

– Podobny pieką w Taquulu. – Podniosła do ust kawałek chleba i ugryzła kęs. Przez chwilę zastanawiała się nad jego smakiem, a potem orzekła: – Tyle że u nas używa się innych przypraw. Na ogół gałki muszkatołowej i kardamonu.

– Moja matka też tak robiła. – Amir był wyraźnie zdziwiony.

Johara odgryzła kolejny kęs i uprzejmie się uśmiechnęła.

– Ten też jest bardzo smaczny.

Zmrużył oczy.

– Ale wolisz swój.

– Tego nie powiedziałam.

Cisza, która między nimi zapadła, musiała zwrócić uwagę, tym bardziej, że w sali panował odświętny nastrój, któremu towarzyszył nieustanny gwar rozmów. Większość obecnych dygnitarzy była przyjaźnie nastawiona do przedstawicielki Taquulu, choć kilku ministrów traktowało ją podejrzliwie, a byli i tacy, którzy otwarcie demonstrowali niechęć. Johara z żalem uświadomiła sobie, że Amir miał rację – ten pokój nie będzie łatwy. Zadawnione uprzedzenia niełatwo wykorzenić.

– Współczuję, że brat cię tu wysłał – odezwał się po chwili. Zaskoczyły ją te słowa. Starając się tego nie okazywać, wyprostowała ramiona.

– Wolałbyś, żebym nie przyjeżdżała?

Nachylił ku niej twarz.

– Wiem, że wolałabyś tego uniknąć.

– Wręcz przeciwnie. – Wyciągnęła rękę po kieliszek z winem. – Chętnie skorzystałam z tej okazji.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

– Wiele słyszałam o Ishkanie – ciągnęła. – Często opowiadano mi o tutejszych mieszkańcach, obyczajach i waszych starożytnych miastach. Liczę na to, że dzięki tej wizycie zaspokoję wreszcie moją ciekawość.

– Co cię tu ciekawi? – Lekko uniósł brwi.

– Och, wszystko – odparła, sącząc wino. – Starożytne ruiny centrum miasta, mur otaczający *sarieun sea*, teatry w stolicy. – Potrzasnęła głową, a na jej pełnych, różowych ustach pojawił się uśmiech. – Wiem, że nie

będzie to możliwe w krótkim czasie, ale w miarę utrwalania się pokoju między naszymi krajami wszystkie te miejsca można by chyba udostępnić gościom z Taquulu.

Odniosła wrażenie, że przez chwilę rozważał taką możliwość.

– Tak, być może, z czasem.

– A my udostępnimy wam w zamian nasze zabytki.

Spojrzał na nią przeciągle, a potem westchnął.

– Jesteś optymistką.

– Doprawdy? – Roześmiała się swobodnie.

Reporterzy nie mieli wstępu na królewskie bankiety. Nie dopuszczał tego protokół i nawet w epoce telefonów komórkowych podczas posiłków obowiązywał zakaz robienia zdjęć. Gdyby jednak ktoś odważył się złamać tę zasadę, zwróciłby zapewne uwagę na dwójkę przedstawicieli zwaśnionych królewskich rodów, którzy nie odrywali od siebie oczu, nachyleni ku sobie w zaskakująco intymny sposób. Dla kilku spośród obecnych myśl, że ich potężny, budzący lęk i respekt, a przy tym uwielbiany szejk Amir Haddad gości w swym pałacu księżniczkę Taquulu, była zapewne nie do przyjęcia.

– Jeśli ja nią jestem – mruknęła po kilku sekundach – to ty również.

– Chyba jeszcze nigdy mnie o to nie podejrzewano.

– To nie podejrzenie, tylko spostrzeżenie – skorygowała.

– No dobrze. A więc jeszcze nikt… dotąd tego… nie spostrzegł.

– A czy sam projekt traktatu pokojowego nie wymaga sporej dawki optymizmu?

– Trzeba wierzyć, że przyniesie sukces, bo w przeciwnym razie po co się trudzić? – Objęła gestem ręki pokój, jakby przypominając mu, gdzie są i jak wiele osób ich obserwuje.

Lekko się od siebie odsunęli, prostując się w krzesłach.

– Uznanie konieczności jakiegoś działania nie ma wpływu na prawdopodobieństwo jego powodzenia.

– A więc cofam, co powiedziałam. Słusznie cię oceniłam przy naszym pierwszym spotkaniu. Jesteś cynikiem.

– A to, owszem, często mi przypisywano.

Powietrze wokół nich zdawało się wręcz iskrzyć. Świadomość jego bliskości, ich rozmowa, przepełniały ją nieznośnym napięciem. A wieczór ciągnął się bez końca.

Po kolacji złożonej z sześciu dań nastąpiły oracje. Przemawiali ministrowie handlu, kultury i spraw zagranicznych. Johara słuchała z uprzejmym uśmiechem, choć kierowano pod adresem jej kraju wiele drobnych zarzutów. Chciała odpowiedzieć, że wojna wymaga udziału dwu stron, że obie poniosły wiele strat, ale to, co spotkało mężczyznę siedzącego obok niej z winy jej rodzonego wuja, skłoniło ją do milczenia.

Uprzejmie kiwała głową, po raz kolejny przypominając sobie, że jej rolą jest łagodzenie napięć. Dlatego po wysłuchaniu wszystkich przemówień wstała i, ignorując wszystkie obraźliwe uwagi, skupiła się na perspektywie przyszłości.

– Czuję się zaszczycona, że mogę uczestniczyć w tym spotkaniu, reprezentując mojego brata szejka Malika Kadira oraz społeczeństwo Taquulu. Mam nadzieję, że jest to pierwsze z wielu podobnych wydarzeń, które połączą nasze narody w nowej epoce pokoju i wzajemnego porozumienia. – Zamilkła i powiodła wzrokiem po sali, by na koniec zatrzymać go na Amirze. – Jestem wdzięczna za gościnność waszego królestwa, waszego narodu i waszego szejka. – Z trudem odwróciła od niego spojrzenie. – Z radością poznam wasz kraj i życie jego mieszkańców.

Gdy usiadła, przez salę przebiegł tłumiony szmer uznania. Wywołało to na jej twarzy lekki uśmiech satysfakcji, choć schylając głowę, próbowała go ukryć. Dostrzegł to tylko Amir, który nie spuszczał z niej wzroku.

Zamykając oficjalną część spotkania, zgodnie z obyczajem wstał i wyprowadził ją z sali. Należało oczekiwać, że się pożegna, gdy opuszczą pałacowy hol, ale tak się nie stało. Wciąż jej towarzyszył. Z obu stron otaczały ich gigantyczne dekoracje sporządzone przez mieszkańców tego regionu z kwiatów, listowia oraz owoców cytrusowych – świeżych i pachnących. Za nimi podążali funkcjonariusze ochrony, czujni i dyskretni, ale Amir reagował na ich obecność z narastającym rozdrażnieniem.

Przed schodami, które prowadziły do skrzydła przeznaczonego dla oficjalnych gości, zatrzymał się, zaskoczony własną niepewnością.

– Musisz być zmęczona. – Usiłował nadać swemu szorstkiemu głosowi cieplejszy ton.

– Czy muszę? – Uniosła brwi.

– Przyjechałaś wczesnym rankiem. To był długi dzień.

– Owszem – potwierdziła, rozglądając się wokół z lekkim westchnieniem. – Ale nie jestem zmęczona.

Patrzył w milczeniu na jej profil, tak boleśnie piękny i tak wiele mający z urody Kadirów, że choć gorąco pragnął jej dotknąć, stał sztywno w miejscu, powstrzymywany ukrytą głęboko w duszy nienawiścią.

– Prawdę mówiąc, czuję się nieco wytrącona z równowagi – dodała po chwili. – Przez cały dzień mówiłam i robiłam to, czego ode mnie oczekiwano, a teraz chciałabym przez chwilę być naprawdę sobą.

Zdumiał się jej wyznaniem.

– Nie masz tu zapewne labiryntu, gdzie mogłabym się na chwilę ukryć?

Żartowała, ale drgnął na te słowa, które nieuchronnie przywiodły wspomnienie tamtego przeklętego wieczoru.

– Nie. – Jego głos zabrzmiał zbyt szorstko. Jak mogła być tak beztrosko czarująca, znając dzielącą ich ponurą przeszłość. – Ale mamy coś jeszcze lepszego.

Oparła dłonie na biodrach, przyciągając jego wzrok do wąskiej talii i ponętnych kształtów, które doprowadziły go do szaleństwa, kiedy jeszcze nic o niej nie wiedział.

– Wątpię.

Zaśmiał się gardłowo.

– Chcesz się założyć?

– Chętnie. Pokaż mi to.

Nie pojmował swego zachowania. Powinien się pożegnać. Nazajutrz czekał ją pracowity dzień. Ale pragnienie, by zostać z nią sam na sam, we dwoje, było silniejsze. Choć znał wszystkie powody, dla których powinien stłumić to pożądanie.

– Czy pozwolisz, że najpierw pójdę się przebrać?

Skłonił się nisko.

– Wasza Wysokość jest moim gościem. Proszę nigdy nie pytać o moje pozwolenie.

Zdumiał ją. Przygryzła wargę, a on musiał odwrócić wzrok, by nie poddać się impulsowi i jej nie pocałować. Wydawało się to takie łatwe i proste.

– Będę tu czekał.

Skinęła, po czym odwróciła się w stronę szerokich schodów. Nie potrafił oderwać od niej wzroku, gdy odchodziła.

Piętnaście minut później była gotowa. Po wielu godzinach odgrywania oficjalnej roli księżniczki odczuła głęboką ulgę, uwalniając się z wytwornej kreacji, którą włożyła na uroczystą kolację. Pospiesznie założyła proste

czarne spodnie oraz jedwabną szmaragdową bluzkę, a na stopy wsunęła płaskie baleriny z czarnej skóry. Tak ubrałaby się w Nowym Jorku – na tyle elegancko, by uniknąć krytycznych uwag, a zarazem swobodnie i bez ostentacji. Jej włosy, starannie splecione w warkocz niczym korona owinięty wokół głowy, pozwalały umocować nad czołem prawdziwą koronę – wysadzany ogromnymi brylantami diadem w kształcie półksiężyca. Teraz zręcznie wyjęła dwa tuziny spinek, które go przytrzymywały, i odłożyła tiarę na toaletkę. Jej włosy gęstą falą opadły na ramiona.

Najchętniej zmyłaby również makijaż, ale niecierpliwość zmuszała ją do pośpiechu. Gdy ponownie wyszła na schody, jej wzrok szukał tylko jego.

Stał w tym samym miejscu, w którym go zostawiła, a jego smagła cera i kruczoczarne włosy tworzyły uderzający kontrast z formalnym śnieżnobiałym strojem, który przywdział na kolację.

Cały wieczór traktował ją z dystansem, jakby łączyły ich wyłącznie oficjalne relacje, ale teraz się zmienił. Nie był w stanie dłużej tłumić emocji. Patrzył na nią z intensywnością, która pozbawiała ją tchu. Długo wpatrywał się w jej twarz, a po chwili jego wzrok przesunął się niżej – objął jej piersi, wąską talię i krągłe biodra, by na koniec dotrzeć do stóp. Wręcz ją hipnotyzował, gdy schodziła ze schodów. Wsparta na balustradzie z obawy, że potknie się i upadnie, posuwała się ostrożnie, stopień za stopniem. Gdy do niego dotarła, czuła, że cała płonie.

– A zatem…? – Jej głos lekko drżał. – Co takiego może konkurować z labiryntem?

Podniósł oczy i nie odrywał ich od jej warg. Wiedziała, że pragnie ją całować, wręcz czuła ciepło jego ciała. Czekała, unosząc ku niemu twarz i rozchylając usta. Jej krew pulsowała tak gwałtownie, że nie potrafiła

myśleć ani słuchać. Wiedziała, że może się cofnąć i odejść, ale nie była do tego zdolna. Jeśli wtedy, w labiryncie, prowadziła ich ręka przeznaczenia, to w tej chwili działała z nieporównanie większą mocą.

Gwałtownie łapiąc powietrze, nieświadomie wychyliła się w przód, muskając piersiami jego tors.

– Joharo… – Jego napięty głos był pełen bólu i rezygnacji. To stało się zbyt trudne. W odróżnieniu od niej nie potrafił nawet na chwilę zapomnieć o przeszłości. Cofnął się, narzucając sobie maskę dyscypliny i zmuszając twarz do sztucznego uśmiechu.

– Wasza Wysokość… – Gestem dłoni przepuścił ją przed sobą, gdy weszli w korytarz. Posuwała się na drżących nogach, z trudem utrzymując równowagę, ale posłusznie ruszyła we wskazanym kierunku. Szedł tuż za nią, tak blisko, że ich ręce dotykały się przy każdym kroku. Raz po raz oblewały ją fale gorąca, w miarę jak rosło napięcie, a z nim pragnienie i nadzieja. Ale na co liczyła? Czego oczekiwała? Przecież był – przynajmniej do niedawna – jej wrogiem.

Ale ona nie widziała w nim wroga. Nie czuła nienawiści do niego ani do jego rodu. Fakt, że ich kraje toczyły ze sobą wojnę, nie wystarczył, by się go wyrzekła.

Tyle że dla niego nie było to proste. Jego rodzice zginęli z rąk jej mściwego wuja. Miał prawo do nienawiści. Ale czy musiała objąć i ją?

Czego właściwie chciała? To pytanie nie dawało jej spokoju, lecz nie znajdowała na nie odpowiedzi.

Kilka minut później dotarli do szerokich drzwi otwartych na mrok pustynnej nocy. Zatrzymał się tam, z nienaganną staroświecką uprzejmością puszczając ją przodem.

Gdy wciągała w nozdrza chłodne powietrze nocy, podszedł do towarzyszących im ochroniarzy:

– Teraz zostawcie nas samych.

W ich oczach błysnął niepokój, ale z szacunkiem schylili głowy, po czym się oddalili. Johara odwróciła się, z rozbawieniem wyobrażając sobie, co musieli pomyśleć, widząc, jak ich władca opuszcza nocą pałac z córką Kadirów. A może podejrzewali, że kobieta mierząca niewiele ponad metr sześćdziesiąt stanowi dla niego zagrożenie?

Jej wargi uniosły się w uśmiechu, który nie zdążył zniknąć, gdy Amir się z nią zrównał.

– Zdradzisz mi, co cię tak rozbawiło?

– Podejrzliwe spojrzenia twoich straży.

– No cóż… – wzruszył ramionami – jesteś z Taquulu.

Teraz już głośno się roześmiała.

– Jakbym mogła tu ukryć metrowy miecz… – Przesunęła dłońmi wzdłuż bioder, kręcąc głową na tak absurdalną myśl.

– Ufam, że tak nie jest.

– Możesz to sprawdzić, Amirze.

Zaraz jednak pożałowała swych słów. Uniosła dłoń do ust i przystanęła, patrząc na niego zawstydzona.

– Nie zamierzałam cię prowokować…

W nocnej ciszy słyszała jego gorący oddech.

– A więc to nie było zaproszenie?

Jej serce galopowało. Nie wiedziała, jak dłużej to wytrzyma.

– Uznaliśmy, że tamta noc była błędem – przypomniała mu.

– Nie, to ja tak uznałem. Ty miałaś inne zdanie.

Jej usta rozchyliły się na tamto wspomnienie.

– Owszem, bo to nieprawda.

Obrócił się, spoglądając na pałac. Zeszli po kilku stopniach do ogrodu pachnącego jaśminem i kwiatami cytrusów. Znajdowali się poza zasięgiem wzroku strażników, ale on zagłębił się dalej w ciemność, zmierzając ku gęstwinie drzew. W odróżnieniu od pedantycznie wypielęgnowanej części formalnego założenia ogrodowego teraz ujrzała krajobraz jak z bajki. Prastare drzewa o niewyobrażalnie grubych pniach, sękate, krzywe i poskręcane, pięły się ku niebu, a ich listowie tworzyło gęstą kopułę, okrywając wszystko ciemnością. Gdyby Amir nie podał jej ręki, mogłaby się potknąć i upaść, on jednak prowadził ją tak pewnie, jakby posuwał się na pamięć. Im głębiej pogrążali się w las, tym mocniej ją uderzał cudowny kwietny aromat, a w dodatku rozległ się czarowny ptasi śpiew. Przystanęła.

– To *juniya*. – Wymówił to tak, że początkowe „J” brzmiało jak „Sz”.

– *Juniya* – powtórzyła, słuchając w zachwycie, gdyż do śpiewu pierwszego ptaka dołączył się drugi, tak że teraz tworzyły duet.

– Wywodzą się z tego lasu. Mówią o nich starodawne teksty, a ich podobizny znajdują się w najstarszych zwojach. Żyją tylko tutaj, w drzewach rosnących wokół pałacu.

– Aż trudno uwierzyć, ile tu wszędzie zieleni. – Pokręciła głową. – Jak u podnóża gór.

– Bo stamtąd spływa tu woda.

– Ta w pałacowej fosie?

– A także w moim prywatnym skrzydle – wyjaśnił.

Przypomniała sobie strumień, który tamtędy przepływał. Nie mogła wprost uwierzyć, że to wszystko wydarzyło się w ciągu jednego dnia.

– Jest tu podziemna grota, przez którą płynie rzeka. W czasach starożytnych wysyłano tą drogą szpiegów do Taquulu – dodał z niemal niezauważalnym uśmiechem.

Szli coraz dalej, aż w końcu gęstwina zaczęła się przerzedzać, a blask gwiazd i księżyca rozświetlił mrok na tyle, że teraz wyraźniej widziała jego twarz.

– Ale to było dawno?

Roześmiał się.

– Teraz druga strona lepiej strzeże swych granic. Tak zresztą jak i my – dorzucił, być może zastanawiając się, czy nie przekaże tej informacji bratu, by ten ją wykorzystał. Na myśl o tym, cicho westchnęła.

– Mimo tego, że zawarliśmy pokój?– spytała.

– Zawsze. – Jego głos brzmiał poważnie. – Woda płynie pod ziemią do pałacu, który jest siedzibą rządu i sercem naszego kraju. Jesteśmy gotowi go chronić za cenę naszego życia.

Pasja, z jaką wymówił te słowa, sprawiła, że przeszył ją dreszcz.

– Wojna trwała przez lata. To chyba naturalne, że tak myślę.

– Myślisz, że jej skutki cię nie dotyczą?

Uniosła szczupłe ramiona.

– Wiele czasu spędziłam w Nowym Jorku. Prawdę mówiąc, utożsamiam się zarówno z dziedzictwem Taquulu, jak i z Ameryką mojej matki. To nie znaczy, że jestem mniej związana z moim narodem ani że nie zdaję sobie sprawy z tragedii tej wojny, ale czasem patrzę na to z perspektywy obserwatora.

Wyciągnął rękę, zerwał wiszący nad nimi liść i przeciągnął palcem po jego powierzchni. Gdy jej go podał, uniosła liść do nosa i głęboko wciągnęła upajającą woń.

– Być może z jasnością obserwatora – skomentował ponuro.

Uważnie mu się przyjrzała.

– Sądzisz, że widzę tę sprawę jaśniej niż ty? Bardziej obiektywnie?

Przystanął. Miał surową, ściągniętą twarz.

– Myślę, że wojna stała się dla nas sposobem na życie – odparł, skinąwszy głową. – Masz rację. Takie przyzwyczajenie trudno wykorzenić.

– Cóż to za ironia – mruknęła cicho – że tak często mi go przypominasz.

Zesztywniał.

– Kogo?

– Mojego brata.

Jego twarz stała się lodowata.

– Nie sądzę, by było to dla mnie pochlebne.

– Nie liczyłam na to, ale taka jest prawda. Myślę, że prowadząc wojnę, warto o tym pamiętać. Sam zresztą mówiłeś, że więcej nas łączy, niż dzieli.

– Mówiłem ogólnie.

Wzruszyła ramionami.

– A ja odpowiadam szczegółowo.

– Nie rób tego. – Potrząsnął głową, patrząc jej w oczy. – Nie porównuj mnie z nim.

– To mój brat – przypomniała. – Stoisz tu ze mną i pokazujesz mi to nieziemsko piękne miejsce – powiodła wokół dłonią – a nie możesz nawet wymówić jego imienia?

Amir zesztywniał.

– Wierz mi, Joharo, że w każdej chwili, którą z tobą spędzam, jestem świadom, kim jesteś i co to oznacza. Sądzisz, że teraz, w tej sekundzie, nie czuję, że zdradzam pamięć moich rodziców?

Gwałtownie wciągnęła oddech, z bólem uświadamiając sobie, że przy każdym ich kontakcie będzie się obwiniał o zdradę najbliższych mu osób.

Odwróciła się, by nie widział jej oczu. Głos jej drżał.

– Myślę, że najlepiej uczcisz ich pamięć, dążąc do trwałego pokoju. I wierzę, że byliby z ciebie dumni.

Nie oglądając się, słyszała, jak nerwowo oddychał. Ujął przegub jej ręki, tak że musiała odwrócić się do niego twarzą.

– Możliwe – potwierdził. – Ale to mi niczego nie ułatwia.

W jego oczach malował się bezmiar cierpienia i rozterki. Przez chwilę na niego patrzyła, po czym spróbowała się odsunąć. On jednak nie zwalniał uścisku.

– Pochodzisz z rodu Kadirów – mruknął ponuro, jakby chciał nieustannie to przypominać.

Uniosła zdesperowaną twarz.

– A ty z rodu Haddadów. I co z tego?

– Kiedy zginęli moi rodzice, nie mogłem ujawnić swych uczuć, choć byłem jeszcze dzieckiem. Miałem dwanaście lat. Tyle że tutaj, w Ishkanie, to wystarczyło, bym został szejkiem. Moje życie zmieniło się wtedy pod każdym względem. Nie miałem czasu na rozpacz, nie mogłem przeżyć żałoby. Prowadziliśmy wojnę.

Zaczął delikatnie gładzić kciukiem wewnętrzną stronę jej ręki, jakby nie był tego w pełni świadomy.

– Kiedy wieczorem zasypiałem, pocieszała mnie tylko jednak myśl.

– Jaka?

– Że do końca mych dni będę żył nienawiścią do Kadirów.

– Miałeś dwanaście lat… – Z jej ust dobył się niemal szept. – To oczywiste, że czułeś gniew.

– Nie, nie gniew – sprostował. – Byłem spokojny i zdecydowany.

– A jednak podpisałeś traktat pokojowy.

– Bo tak samo jak nienawidzę twojej rodziny, kocham mój kraj i moich poddanych. Dla ich dobra gotów jestem na wszystko.

Czuła, że jej serce pęka na tysiące części.

– Nie wiem, co powiedzieć… – Nie mogąc dłużej znieść jego spojrzenia, opuściła wzrok. – Po tej haniebnej akcji mój wuj wyrokiem rodziny został wtrącony do więzienia i z woli mojego brata przebywa tam do dziś. Nikt nigdy nie udzielił mu poparcia – ani moi rodzice, ani brat, a już na pewno nie ja. Prowadziliśmy wojnę ekonomiczną, opartą na sankcjach, nie na przemocy.

Przechyliła głowę, oczekując jego sprzeciwu, lecz milczał.

– To był akt szaleństwa, Amirze. Och, tak, po obu stronach granicy są renegaci, a także wrogość, która im sprzyja. Ale posunąć się do czynu tak okrutnego i… podłego, jak morderstwo twoich rodziców? Skoro jednak musisz kogoś nienawidzić, choć nie potrafię wyrazić, jak niszcząca jest ta nienawiść, niech to będzie mój wuj, Johar, a nie każdy, kto nosi to imię. Nie ja!

Z jego ust wyrwał się długi, gardłowy jęk.

– To, co mówisz, jest bardzo rozsądne.

– A jednak się ze mną nie zgadzasz? – spytała niepewnie.

– Ja nie chcę się z tobą zgadzać.

– Dlaczego?

– Bo tylko ta odwieczna nienawiść powstrzymuje mnie przed tym, czego pragnę od chwili, gdy cię zobaczyłem.

Wstrzymała oddech.

– A pragnę cię całować, pragnę wsunąć palce w twe włosy i rozkoszować się smakiem każdej cząstki twojego ciała. Pragnę, żebyś jęczała i błagała bezgranicznie mi uległa. Tak jak tamtego wieczoru w labiryncie.

Krew szumiała w jej głowie, gdy słuchała tych słów. Omdlewały pod nią kolana.

– Pragnę zerwać z ciebie ubranie i cię posiąść. Tu, teraz. Tak, by ten pradawny las był jedynym świadkiem mojego szaleństwa.

Z wysiłkiem wydobyła głos.

– I to jest takie złe?

Zamknął oczy, jakby nie mógł usłyszeć nic gorszego.

– Już raz popełniłem błąd, ale wtedy nie wiedziałem, kim jesteś.

– Teraz wiesz, a przecież nadal mnie pragniesz – odważyła się szepnąć, świadoma, że stąpa nad przepaścią.

Zaklął cicho w jednym z dialektów swego kraju.

– Nie zasługujesz na taki los. Ani na mężczyznę, który pragnie tylko twego ciała i niczego nie może ci ofiarować.

Zamilkła, nie znajdując odpowiedzi.

– Bo nie mogę ci niczego ofiarować – powtórzył. – Ani przyszłości, ani nawet przyjaźni, oprócz tej, której wymaga polityka. Nie mogę wchodzić w związek, który mógłby mieć wpływ na sposób pełnienia władzy i obowiązki wobec poddanych.

– Do diabła, Amirze. Nie mam najmniejszego zamiaru działać na szkodę twoich poddanych.

– Związek z tobą mógłby wpłynąć na moje decyzje polityczne. A do tego nie można dopuścić.

Wciągnęła głęboki oddech. Trudno było zrozumieć te słowa, a jednak instynktownie pojęła ich przerażający sens. Znaczenie obowiązku było jej dobrze znane.

To nie ona stanowiła zagrożenie dla jego kraju. Nie jako kobieta. Ale Johara Kadir z królewskiej dynastii Taquulu była symbolem. Pokój między

ich państwami miał słabe podstawy. Mieszkańcy Ishkany potrzebowali czasu, by go uznać i uwierzyć w jego trwałość. Gdyby rozeszła się wiadomość o ich romansie, mogłoby to nawet spowodować rozruchy.

Ta wojna pochłonęła już zbyt wiele ofiar, zwłaszcza w rejonie pogranicza.

Zamknęła oczy i ze smutkiem skinęła głową.

– Nie czuję do ciebie nienawiści. – Nie protestował, gdy uwolniła dłoń z jego uścisku. I choć całe jej ciało pragnęło jego dotyku, wyprostowała się z królewską godnością. – Ale masz rację. Nie zasłużyłam na to, by stać się kozłem ofiarnym z powodu wszystkich cierpień, jakie cię w życiu spotkały. – Spojrzała w dal ponad jego głową. – Czy możemy wrócić do pałacu? Myślę, że tego wieczoru widziałam już dosyć.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Słońce wręcz prażyło, a piasek pustyni szaleńczo wirował w powietrzu, docierając nawet tutaj, na przedmieścia, gdzie znajdowała się jedna z najstarszych bibliotek w kraju.

Dopisał tę pozycję do programu jej wizyty, zanim jeszcze przybyła. Wspomnienia ich pierwszej rozmowy nie dawały mu spokoju. Nie mógł zapomnieć, jak lśniły jej oczy, gdy mówiła o wdrażaniu programu kształcenia umiejętności czytania i pisania u dzieci.

Wiedział, że gmach biblioteki wzbudzi jej zachwyt. Jego kamienne ściany miały tysiące lat – podobnie jak zebrane tam księgi, pergaminy i zwoje, a także gobeliny. Ale to nie wszystko. W ciągu ostatnich piętnastu lat, w okresie jego rządów, rozbudowano kompleks biblioteczny w celu udostępnienia książek i rozpowszechnienia czytelnictwa wśród młodzieży.

To był ostatni punkt programu tego gęsto wypełnionego oficjalnymi spotkaniami dnia. Ale mimo wszystkich uprzejmych rozmów, uśmiechów i fotografii, na twarzy Johary nie pojawił się nawet cień napięcia czy zmęczenia. W każdym razie nie w obecności mężczyzny, który by ją traktował – w jej przeświadczeniu – jako „kozła ofiarnego”. Mimo morderczego upału i niebotycznie wysokich szpilek, które musiały ją maltretować.

Zresztą nawet teraz z wyrazem żywego zainteresowania słuchała ministra sztuki, który rozwodził się nad przeznaczeniem sal bibliotecznych.

Amira ogarnęło zniecierpliwienie. Nie chciał biernie stać z boku, gdy oprowadzano ją po bibliotece. Chciał, by wszyscy wyszli, zostawiając ich ze sobą samych. Pragnął opowiedzieć jej o tym, co planował, budując nowe sale, a także o wspomnieniach z tego miejsca, które ongiś było jego ulubionym azylem.

– Jakie to wspaniałe przedsięwzięcie – niemal tęsknie westchnęła, przesuwając palcem po okiennym parapecie. Za nimi znajdowała się klasa pełna dzieci, również tych z najbiedniejszych dzielnic. Codziennie rano po mieście jeździły autobusy, które ogłaszały swój przyjazd głośnym dzwonieniem, by wszystkie dzieci, które tego chciały, mogły skorzystać z lekcji.

– Zamierzamy wprowadzić powszechną edukację – usłyszał Amir własne słowa, wysuwając się naprzód i przerywając wywody ministra sztuki. – To było marzenie mojego ojca – rzekł, ruszając marmurowym korytarzem i nalegając, by się przyłączyła. Nie zapominał o towarzyszącej im służbie, pracownikach i mediach, ale nie oglądając się na nikogo szedł, myśląc tylko o niej.

– Edukacja? – spytała, zrównując z nim krok.

– Tak. Trudno przecenić płynące z niej korzyści.

– Masz rację – przytaknęła gorliwie.

– Ale to państwowa biblioteka – ciągnął. – Mieliśmy więc ograniczony zakres możliwości. No i oczywiście część tutejszych zasobów nie jest przeznaczona dla szerokiej publiczności. Najstarszych tekstów, które się znajdują na trzecim i czwartym piętrze, nie udostępniamy dzieciom – powiedział z uśmiechem.

– To oczywiste – skinęła.

– To obiekt przeznaczony dla młodzieży z miasta, przykład naszych priorytetowych inicjatyw. Ale w ostatnim dziesięcioleciu zbudowaliśmy

w kraju dwadzieścia siedem bibliotek, zaczynając od regionów najuboższych. Przy czym biblioteki nie dysponują jedynie książkami. Oferują również komputery i tablety, a także kursy ich obsługi. Natomiast dzieci przez sześć dni w tygodniu mogą uczęszczać na lekcje. Ponadto czytelnictwo jest promowane. Regularni klienci bibliotek uzyskują niewielkie ulgi podatkowe.

Johara wciągnęła głęboki oddech.

– Serio?

– Tak, zupełnie serio.

– Cóż za niezwykła inicjatywa.

Wzruszył ramionami.

– Nawyk czytania przynosi wiele korzyści.

Miał wrażenie, że lekko się potknęła. Wyciągnął rękę i ujął jej łokieć, głównie, by ją podtrzymać, ale dreszcz, który go przeszedł, stanowił ostrzeżenie przed podobnymi błędami, zwłaszcza w miejscu publicznym.

– Przecież i ty angażujesz się w zwalczanie analfabetyzmu u dzieci.

– Owszem. – Jej twarz odzyskała naturalność. Swobodnie odsunęła się od niego, zwiększając dystans.

– Dużo czytasz?

Patrzyła gdzieś przed siebie, nie odpowiadając. W milczeniu dotarli do dużej sali wypełnionej prostymi biurkami, z których uczniowie mogli korzystać w czasie roku szkolnego. Na ścianach z ciemnego drewna widniały fragmenty tekstów źródłowych.

– Jaka wspaniała sala.

Zastanawiał się, czy celowo zmienia temat, ale go nie drążył. Będzie jeszcze czas, by znów ją o to spytać. Sam nie wiedział, czemu tak mu na

tym zależy, ale miał wrażenie, że coś przed nim ukrywa. A tego nie chciał. Chciał wiedzieć o niej… wszystko.

Obchód pozostałej części biblioteki trwał czterdzieści pięć minut. Na koniec przystanął, jednym spojrzeniem zatrzymując nieodstępną obstawę, by oddalić się tylko z Joharą.

– Chciałabyś zobaczyć, co jest wyżej?

– Starożytne woluminy?

Potwierdził skinieniem.

– Mogłabym powiedzieć, że są zbyt cenne, by pokazywać je komuś takiemu jak ja.

Ścisnęło go w gardle, ale celowo udał, że nie rozumie.

– Takich rzeczy zazwyczaj nie pokazujemy zagranicznym gościom, ale może cię to ciekawi?

Jej oddech przyspieszył.

– Tak – odparła w końcu, nie patrząc mu w oczy.

Milcząc, obrócił się i ruszył w stronę swej obstawy. Podszedł do Ahmeda z krótkim poleceniem, by zaczekali dwadzieścia minut. Było to odstępstwo od protokołu, choć nie na tyle poważne, by później musiał się tłumaczyć.

Zanim Ahmed zdążył wyrazić dezaprobatę, Amir już prowadził Joharę w stronę wind, by zaraz nacisnąć przycisk, którym przywołał jedną z nich. Gdy drzwi bezszelestnie się otworzyły, czekał, aż Johara wejdzie do środka, a po czym wsiadł i ponownie wcisnął złoty guzik. Windy były stare, pochodziły z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku, więc poruszały się dość wolno, a on w tym czasie próbował ignorować jej bliskość w małej kabinie.

Jednak gdy w końcu drzwi się otworzyły, poczuł ulgę. Mógł wreszcie odsunąć się od niej, tłumiąc pragnienie, by jej dotknąć, gdy stała tuż obok.

– Wiele z tych gobelinów nawiązuje również do historii twojego kraju – powiedział, wskazując jeden, wiszący naprzeciw windy i blado oświetlony lampą zabezpieczającą bezcenne włókna.

Zafascynowana wpatrywała się w sceny przedstawione na gobelinach, gdy prowadził ją przez sale i pokazywał niektóre ze swych ulubionych dzieł.

– Mam wrażenie, że znasz to miejsce jak własną dłoń – odezwała się po dziesięciu minutach.

– Owszem – odparł z uśmiechem. – Jako dziecko często tu przychodziłem. Uwielbiałem siadywać tu i czytać, podczas gdy moi rodzice uczestniczyli w obradach parlamentu. – Miałem szczęście, że ulegali moim kaprysom.

– Czy to znaczy, że cię rozpuszczali? – spytała rozbawiona.

– Raczej nie… – Uśmiechnął się ponownie. – Tylko pod tym względem. Moja matka uważała, że moje upodobanie do książek jest dość dziwne.

– Dlaczego?

– Bo uwielbiałem życie na wolnej przestrzeni, w ruchu. Nienawidziłem ograniczeń. Biegałem, jeździłem konno, pływałem, wspinałem się. Byłem w tym łudząco podobny do ojca. Ale tu, w bibliotece, odnajdywałem nowe światy, inne drogi do wolności.

Słuchała jego słów jak zaczarowana. Wyraz jej twarzy uległ zupełnej zmianie.

– Patrząc na moją nową pasję, widząc, jak książki rozwijają moją świadomość, rodzice powzięli pewien plan. Do dziś pamiętam ich rozmowę, gdy któregoś wieczoru wracaliśmy do pałacu. Ojciec powiedział wtedy, że każde dziecko powinno mieć możliwość rozwijania wyobraźni tak jak ja, korzystając z biblioteki.

Johara zatrzymała się, podziwiając niewielką książkę o złotym grzbiecie, z tytułem napisanym piękną kursywą.

– Mieli rację – powiedziała cicho.

– Czy w dzieciństwie przeżywałaś to podobnie?

Zapadła chwila nienaturalnej ciszy.

– Ja… w dzieciństwie pełniłam obowiązki reprezentacyjne – odparła spokojnie. Jej beznamiętny ton najwyraźniej ukrywał prawdziwe emocje. Nie odezwał się, przeczuwając, że usłyszy więcej, jeśli zachowa milczenie.

Miał rację.

– Moja matka umarła, gdy miałam sześć lat. Jak przez mgłę pamiętam, że razem z nią brałam udział w oficjalnych imprezach, toteż po jej śmierci oczekiwano, że przejmę jej rolę. – Kpiąco się uśmiechnęła. – Wiesz coś na ten temat.

– W tak młodym wieku?

– Nie sprzeciwiałam się temu. Moja *amala* poświęcała wiele wysiłku, by uczyć mnie zasad etykiety, nawiązywania kontaktów, a także prowadzenia konwersacji. – Wzruszyła ramionami. – Stało się to moją drugą naturą.

– Przecież byłaś dzieckiem!

Roześmiała się.

– Wystarczająco dorosłym. – Uniosła brew. – Nie miałam wiele czasu na biblioteki i czytanie książek, nawet na naukę. Zresztą nie wydawało mi się to ważne.

Amir stanął, a w jego oczach na moment zalśnił gniew.

– Zaniechano twojej edukacji po to, byś przecinała wstęgi i prowadziła konwersacje?

– Z czasem zostałam członkiem zarządu wielu ważnych instytucji dobroczynnych i fundacji – próbowała to uzasadniać, ale po chwili z cichą rezygnacją opuściła głowę.

– A twój brat? – spytał, nadal nie kryjąc gniewu.

– Mal odebrał edukację podobną do twojej. Sprowadzano dla niego najlepszych nauczycieli różnych przedmiotów. Od dzieciństwa był wychowywany na męża stanu, przywódcę i władcę kraju.

– To głęboko niesprawiedliwe. – Coraz silniej wzbierał w nim gniew.

Oczy Johary rozbłysły. Czuł jej zdziwienie, lecz i akceptację.

– Takie są zwyczaje w naszym kraju.

– Wygląda na to, że w waszym kraju od stu lat nic się nie zmieniło.

Uniosła ramiona.

– A w Ishkanie jest inaczej?

Patrzył na nią, jakby postradała zmysły.

– Tak, zupełnie inaczej. Widziałaś przecież zbudowane przeze mnie obiekty. Słyszałaś, co mówiłem o znaczeniu edukacji. Czy choć raz powiedziałem, że ma służyć wyłącznie chłopcom?

Milczała, nie odrywając od niego wzroku. Gdzieś głęboko rozpalała się między nimi iskra porozumienia.

– Mój dziadek próbował wprowadzić równouprawnienie płci – ciągnął Amir – ale, jeśli mi uwierzysz, powstrzymała go opinia publiczna. W czasach, gdy szejkiem był mój ojciec, działał już internet, toteż proces zrównania praw mężczyzn i kobiet był nieunikniony. Moja matka była kobietą postępową i wybitnie inteligentną. Nie wyobrażam sobie, by mogła żyć bezproduktywnie dlatego, że kobiety pozbawiono prawa do edukacji.

– Ja nie żyję bezproduktywnie – przerwała mu. – Reprezentuję sprawy, które mają dla mnie wielkie znaczenie.

Patrzył na nią, nie chcąc zdradzić swych myśli, gdyż mogłyby ją zranić.

– Co? – spytała. – Powiedz, o czym myślisz.

Zaskoczyła go. Jakim cudem tak łatwo go przejrzała?

– Brzmi to dla mnie tak, jakby twoja reprezentacyjna rola sprowadzała się głównie do pozycji i rozpoznawalności.

Odrzuciła głowę, jakby wymierzył jej policzek, a on natychmiast pożałował swych słów. Zbliżył się o krok, zaciskając usta.

– Wybacz mi. Przepraszam.

– Nie. – Położyła mu dłoń na piersi, nerwowo oddychając. – Nie przepraszaj.

Ich ciała się dotykały, a oddechy mieszały ze sobą. Stali tak, aż w końcu Johara z tłumionym westchnieniem cofnęła się i oparła o twardą powierzchnię białej marmurowej ściany.

– Nie przepraszaj – powtórzyła, tym razem spokojniej i ze smutkiem.

Ustawił się tak, że teraz zamykał jej drogę, więził ją swym ciałem.

– Masz rację. – Przygryzła dolną wargę. – Jestem dekoracją. Ale w odróżnieniu od twojej matki nie posiadam wybitnej inteligencji. Nie umiem nawet dobrze czytać, Amirze. Tradycyjna edukacja niewiele by mi dała. Dlatego moi rodzice postanowili wykorzystać to, z czym najlepiej sobie radziłam. A to są kontakty z ludźmi. W ten sposób służę mojemu krajowi.

Z trudem oddychał, niezdolny wykrztusić słowa.

– Nie nauczono cię nawet czytać? – nie dowierzał.

– Owszem, próbowano mnie uczyć – sprostowała. – Ale niezbyt długo, i nie traktowano tego zbyt poważnie. Gdy miałam dwanaście lat, poddano mnie jakimś testom, które wykazały, że cierpię na ciężką dysleksję. – Między jej brwiami zarysowała się głęboka linia. – Gdyby wykryto ją

wcześniej, nic by to nie zmieniło. To nieuleczalne. Mój mózg funkcjonuje inaczej niż twój. Potrafię czytać, ale nie wyobrażasz sobie, ile mi to zabiera czasu, i na pewno nigdy nie będzie przyjemnością. – Jej oczy napotkały jego wzrok i potrząsnęła głową. – Nie patrz na mnie w ten sposób.

– W jaki sposób na ciebie patrzę? – spytał łagodnie.

– Jakbyś się nade mną litował. – Znów przygryzła wargę. – Mimo to lubię książki i gdy tylko mogę, słucham nagrań. I wierz mi, że czerpię z nich taką samą przyjemność jak ty.

Słuchał i czuł, że gwałtownie ogarnia go coś, czego nie czuł już od bardzo dawna. Podziw i szacunek.

– To dlatego zaangażowałaś się w tę misję edukacyjną?

– Owszem. – Gdy skierował rozmowę na ten temat, uśmiech nie schodził z jej ust. – Chcę pomagać dzieciom. Nawet takim, jakim kiedyś byłam ja sama. Jeśli zdiagnozują je odpowiednio wcześnie, oszczędzi im to poczucia niższości i przekonania o swej tępocie.

– Tak to odczuwałaś…

Jej uśmiech znikł. A jego znów ogarnął gniew – na jej rodziców, a ponieważ nie żyli i nie mogli już odpowiadać za te karygodne zaniedbania, przeniósł go na jej brata.

– Tak. – W jej oczach lśniło wyzwanie. – Kiedyś tak czułam. Ale potem wyjechałam do Ameryki i tam zrozumiałam, że umiejętności, które posiadam, są nader cenne. Umiem zjednywać ludzi. Pozyskiwać fundusze. W ciągu kilku godzin potrafię zdobyć milionowe dotacje. Mogę naprawdę zrobić wiele dobrego. Dlatego, Amirze, proszę, przestań na mnie patrzeć jak na ofiarę, bo…

Poczuł gwałtowny ucisk w piersi.

– Bo?

– Bo… nie wiem. Zacznę krzyczeć. – Potrząsnęła głową. – Tylko się nade mną nie lituj.

Delikatnie ujął jej brodę kciukiem i palcem wskazującym.

– Nie lituję się nad tobą, Joharo. – Nie odrywał wzroku od jej twarzy i nagle mu się wydało, że słyszy gdzieś w oddali niskie odgłosy bębna, rytmiczne i gwałtowne. Ale dopiero po chwili uświadomił sobie, że to nie bicie bębna, lecz szum jego własnej krwi.

– Naprawdę?

– Podziwiam cię – wyznał. – Wielbię. I, niech to diabli, pragnę cię całować bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

Z trudem utrzymywała się na nogach. Gdyby nie stał tak blisko, że niemal przyciskał ją do ściany, straciłaby równowagę. Jego twarz i usta były tuż nad nią. Rozchyliła wargi w milczącym przyzwoleniu, pragnąc go każdą komórką swego ciała.

– Czym sprawiasz, że tak łatwo zapominam? – usłyszała.

– O czym to zapominasz? – Był coraz bliżej. Nie wiedziała, czy to ona wspięła się na palce, czy on się pochylił? Jej usta niemal go dotykały, ogarniała ją gorączka.

– O tym, kim jesteś – rzucił, jakby to nie miało znaczenia, i zaczął ją całować, pozbawiając zdolności myślenia, świadomości, co się dzieje wokół. Ale gdy zaczął penetrować językiem wnętrze jej ust, w jej odurzonym mózgu rozbrzmiały nagle słowa: „O tym, kim jesteś”.

Całym wysiłkiem resztek woli Johara odepchnęła się dłońmi od jego piersi na tyle, by móc oddychać.

– Wasza Wysokość… – Celowo użyła tytułu, pragnąc mu przypomnieć to, o czym podobno zapomniał. – Nic się nie zmieniło od wczorajszego wieczoru. – Czekała, wpatrzona w jego twarz. – Prawda?

Szeroko otworzył oczy, jakby jej słowa przywróciły go do rzeczywistości. Czuła, jak bardzo jej pragnie, a jednak natychmiast się cofnął, musnąwszy tylko dłonią jej podbródek.

– Masz rację, księżniczko – odparł z ironicznym uśmiechem. – To się nie powtórzy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

– Jeszcze tylko trzy dni – usłyszała w słuchawce głos Malika, który chciał jej dodać otuchy. Nie mógł przypuszczać, że odniesie to wręcz przeciwny skutek, gdyż przypomnienie, że jej pobyt w Ishkanie niebawem dobiegnie końca, doprowadzało Joharę do rozpaczy.

Przez okno swej wspaniałej sypialni spojrzała na wolierę z sokołami, jakże podobną do tej w Taquulu, i po raz kolejny poczuła, jak podobne są te dwa kraje.

– Wiem – odparła.

Miała za sobą kolejny dzień wypełniony licznymi spotkaniami i wizytami. Coraz lepiej poznawała to miasto, rozmawiała z licznymi politykami i przywódcami, a im więcej widziała i słyszała, tym gorzej się czuła.

Ich wojna była tak bezcelowa, tak daremna.

Ten piękny kraj i ci wspaniali ludzie byli równie zranieni jak mieszkańcy Taquulu. Nie po raz pierwszy ogarnął ją żal do rodziców i dziadków. Dlaczego nie chcieli osiągnąć żadnego porozumienia? Dlaczego dopiero po upływie stu lat od pierwszego wystrzału dokonali tego dwaj mężczyźni – Amir i jej brat?

– Jak tam jest? – ciekawy był Malik.

– Jest… – Jej uwagę zwrócił jakiś ruch na dole. Podążyła za nim wzrokiem. Ktoś w bieli przesuwał się wśród oliwek i drzew granatu. Jej serce rozpoznało go wcześniej niż wzrok.

Amir.

Kierował się w stronę jednej z wolier. Widoczna nawet z oddali wspaniała męska sylwetka i sprężystość ruchów nie pozostawiały wątpliwości, że to on. Po chwili otworzył wolierę i dał ręką znak. Potężny ptak o rozpiętości skrzydeł równej połowie jego wzrostu wyfrunął z klatki, wzbił się w niebo i krążył nad jego głową, a także nad głową Johary, bacznie lustrując wszystko w zasięgu swego wzroku, po czym karnie powrócił, by spocząć na wyciągniętej ręce Amira, którą objął szponami. Miał popielaty dziób oraz bladokremowe pióra nakrapiane małymi, jasnobrązowymi plamkami, które lśniły perłowym blaskiem.

– Co? – niecierpliwił się Malik. – Tak strasznie? Nie możesz już wytrzymać?

– Nie! – Zupełnie zapomniała, że brat czeka na odpowiedź. Pokręciła głową, choć nie mógł tego widzieć. – Jest… cudownie.

Widziała, że usta Amira się poruszyły. Przemawiał do ptaka. Niczego bardziej nie pragnęła, niż usłyszeć, co mówi.

– Cudownie? – Malik nie dowierzał, ale nie zwracała na to uwagi.

– Tak, muszę już iść.

– Ale…

– Zadzwonię później, okej? – Wcisnęła czerwony przycisk na ekranie telefonu, wciąż patrząc na Amira. Stał na tle ciemniejącego nieba z sokołem na ramieniu niczym symbol królewskiej potęgi. Wstrzymała oddech, gdy ruszył w stronę pałacu. Śledziła każdy jego krok w takim napięciu, jakby mogła przykuć spojrzeniem jego uwagę.

Szedł dalej, a gdy znalazł się na wysokości jej apartamentów, podniósł oczy, przesuwając wzrokiem wzdłuż szeregu okien, aż w końcu ją zobaczył.

Wtedy się zatrzymał i spojrzał na nią tak, jak ona patrzyła na niego. Z tęsknotą i pożądaniem.

Jakby tylko patrząc na siebie, mieli szansę przetrwania.

Chwilę później schylił głowę w pełnym szacunku ukłonie, a jej serce zgubiło rytm. Odchodził. Pragnęła krzyczeć. Smutek i tęsknota doprowadzały ją do szaleństwa. Od czasu ich pocałunku w bibliotece prawie go nie widziała. Kilkakrotnie pozowali do wspólnych zdjęć i to wszystko. W takich okolicznościach był uprzejmy, ale dokładał wszelkich starań, by zachować oficjalny dystans.

Teraz jednak ten sam płomień, który wybuchł z taką siłą w bibliotece, wręcz trawił końcówki jej nerwów.

Ponownie podniósł wzrok, przez moment go na niej zatrzymał, a potem lekko się skrzywił, jakby toczył ze sobą wojnę. Po czym znów zaczął iść, by zaraz zniknąć jej z oczu.

Wyszła na balkon i zacisnęła powieki, mocno ściskając balustradę. Gwałtownie zamrugała, by powstrzymać łzy, które słoną falą napływały jej do oczu. Dlaczego spośród wszystkich znanych jej mężczyzn musiała wybrać tego, który poprzysiągł jej wrogość? Mężczyznę, który miał wszelkie prawa, by nienawidzić jej rodzinę? Z westchnieniem wycofała się do olśniewających komnat, by wziąć zimny prysznic. Zostały trzy dni. Jakoś je przetrwa. Ale co potem? Ma zapomnieć?

Zamknęła oczy, oddając się wspomnieniom. Odtwarzała je z takimi szczegółami, że w końcu jej skóra zaczęła płonąć, a krew gorączkowo pulsować.

Nigdy o nim nie zapomni. Gdy wróci do Taquulu, on będzie tam z nią. Przynajmniej w jej pamięci. Bo choć spędzili ze sobą zaledwie krótkie chwile, głęboko wierzyła, że był częścią jej duszy.

Z rozmarzenia wytrąciło ją pukanie do drzwi. Odwróciła się, rzucając niespokojne spojrzenie w lustro, by ocenić swój wygląd. Miała zarumienione policzki i lśniące oczy. Przycisnęła wierzch dłoni do twarzy, głęboko odetchnęła i otworzyła. Ale to nie był on. W drzwiach stał oficer straży. Z miejsca rzucił jej się w oczy imponujący wojskowy medal na jego piersi. Oczywiście otrzymał go za zasługi w służbie swej armii – walczącej z jej krajem. To był kolejny powód do przygnębienia. Wojna się już skończyła, ale pozostawiła po sobie głębokie rany. Czy ten żołnierz też nienawidzi jej za to, kim jest? Nie umiała na to odpowiedzieć. Z nieprzeniknioną twarzą wyciągnął do niej rękę, w której trzymał złożoną w czworo kartkę papieru.

– Dziękuję – mruknęła, obdarzając go uśmiechem, a potem czekała, aż zamkną się za nim drzwi.

Przyjdź pod Zachodnią Bramę. A.

Dysleksja nie ułatwiła jej odczytania jego pospiesznie skreślonego pisma, toteż trwało to dłuższą chwilę. Kiedy skończyła, jej palce drżały, a oddech się rwał. Rzuciła kolejne spojrzenie w lustro i wygładziła dłońmi swój prosty strój – luźne spodnie i tunikę. Potem sięgnęła po spinki do włosów, które upięła nisko na szyi w luźny węzeł, musnęła wargi szminką i ruszyła do wyjścia.

Gdy otwierała drzwi, nadbiegła Athena.

– Wasza Wysokość gdzieś się wybiera?

– Ja… chcę się przejść – odparła z lekkim skinieniem.

– Czy mam dotrzymać towarzystwa?

– Nie – zapewniła z uśmiechem Johara. Obecność służącej, nawet tak zaufanej, była ostatnią rzeczą, jakiej mogłaby chcieć. – Chciałabym być

sama – złagodziła swój poprzedni ton, wyciągnęła dłoń i dotknęła ręki Atheny.

– Dobranoc.

Bez trudu znalazła drogę do Zachodniej Bramy. Mgliście zapamiętała ją z pierwszego dnia wizyty, kiedy oprowadzano ją po mieście. Szła w zapamiętanym kierunku, aż dotarła do ściany z białego marmuru, która zdawała się rosnąć ku niebu, tworząc barierę przed światem. W połowie jej długości otwierała się wspaniała, potężna brama ze złota i brązu, z napisem wyrytym pośrodku starożytną kaligrafią.

Zbliżając się do niej, zwolniła, wypatrując Amira. Ale go nie było. Na prawo od bramy dostrzegła drzwi, które wręcz wtapiały się w ścianę. Były uchylone. Ruszyła w ich stronę i je pchnęła. Stał tam i czekał.

Zaschło jej w ustach. Tak się spieszyła, że nie zdołała pomyśleć, co powie na powitanie.

Żadne się nie uśmiechało.

– Dziękuję, że przyszłaś.

Lekko uniosła brwi. Czy sądził, że mogłoby być inaczej?

– Wspominałaś, że chciałabyś zobaczyć ruiny *wasat*. Najpiękniejsze są o zachodzie.

Dopiero wtedy dostrzegła stojącego za nim wspaniałego rumaka. Na jego grzebiecie pod siodłem leżały koce, złoty i czarny, a z boku zwisała sakwa z tkaniny. Przypuszczała, że zawiera to, co niezbędne podczas jazdy przez pustynię – wodę i zapewne telefon satelitarny.

– Czy są daleko stąd?

– Nie. – Wskazał konia.– Jedziesz ze mną.

To był rozkaz. Spojrzała na wierzchowca, próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz siedziała na końskim grzbiecie. Przed wielu laty.

– To jest jak jazda na rowerze. – Twarz rozjaśnił mu uśmiech, a jej serce zabiło jeszcze mocniej.

Podeszła do rumaka. Miał lśniącą karą maść, wspaniałą muskulaturę i inteligentne oczy. Gdy uniosła dłoń, by pogładzić go po nozdrzach, przyjaźnie parsknął, a potem schylił łeb.

Amir patrzył na nich oniemiały.

– Cóż za piękność… – wyszeptała.

– Spodobałaś mu się – mruknął, a potem zbliżył się i wsunął dłoń w końską grzywę, wplatając w nią palce. – Pozwól, że ci pomogę.

Odruchowo chciała odrzucić tę propozycję, ale oceniając wysokość wierzchowca, uznała, że nie byłoby to najmądrzejsze.

– Dziękuję.

Podszedł do niej, patrząc jej w oczy.

– Gotowa?

Bez słowa skinęła.

Lekko objął ją w pasie i uniósł tak, by mogła przerzucić nogę nad końskim grzbietem. Jego dłonie dotykały jej bioder nieco dłużej, niż było to konieczne, lecz i tak żałowała, że w końcu je oderwał.

Chwilę później wsunął stopę w ostrogę i dosiadł rumaka, trzymając ją przed sobą, a gdy ujął wodze, całkowicie zamknął ją w objęciach.

– Będziemy szybko jechać – szepnął jej w ucho. Czując jego gorący oddech, tylko skinęła, niezdolna dobyć głosu.

Koń, ledwie muśnięty ostrogą, ruszył z miejsca. Wkrótce przeszli w galop. Początkowo skierowali się na północ, w stronę terenów Al`amani, lecz po pewnym czasie skręcili na wschód. Słońce zwolna zniżało się nad horyzontem, roztaczając magię barw zachodu, zanim w końcu zapadł zmierzch. Jechali przez dwadzieścia minut. Poddając się rytmowi galopu,

przy każdym ruchu wierzchowca Johara całym ciałem osuwała się na Amira. Dotykała plecami jego piersi, udami jego ud, ocierała się o ręce, którymi trzymał wodze. Kiedy w końcu zatrzymał konia, była tak pogrążona w rozkosznym stanie błogości, że z trudem się ocknęła.

– To tutaj – powiedział z twarzą tuż przy jej twarzy. Był tak blisko, że gdyby lekko odwróciła głowę, dotknęłaby jego ust. Z trudem łapała oddech. Przesunęła wzrokiem po zarysie starożytnej budowli, niezdolna dostrzec szczegółów. Widziała tylko słupy i kolumny, pozostałość jakiegoś ornamentacyjnego dachu i łuki otworów okiennych. Tak, mogła sobie wyobrazić, że kiedyś, przed tysiącem lat, był to azyl pośrodku pustyni. Miejsce wypoczynku i schronienia w trudach podróży. Piękne, lecz nie była w stanie reagować. Jakiś odgłos nad głową przyciągnął jej uwagę. Podniosła oczy i ujrzała potężne, rozpostarte nad nimi skrzydła. Jego sokół. Patrzyła, jak penetruje wzrokiem pustynię i zwolna obniża lot, by wylądować na szczycie ruin.

– One są… – szukała słów i odruchowo obejrzała się na Amira. Niesłusznie. Był tak blisko, że odwracając się, niemal musnęła ustami jego policzek. Lekko się przesunął, tak że stanęli twarzą w twarz. Dzieliły ich centymetry. Powietrze wokół drżało upałem, który nie płynął z pustyni.

– Te ruiny są…

Nadal nie znajdowała słów. Każda komórka jej mózgu koncentrowała się tylko na jednym – na tym mężczyźnie. Był zbyt bliski. Zbyt wspaniały. Te ruiny nie mogły z nim konkurować.

– Chcesz zobaczyć je wewnątrz?

Nie. Chciała dalej stać tu, gdzie stała. Zagryzła wargę, pewna, że zdradza ją wyraz twarzy.

– Ja… – Zmarszczyła brwi tak mocno, że tworzyły jedną linię.

– Widok z góry jest naprawdę niezwykły.

Wolno skinęła, ale gdy zeskoczył z konia, musiała odwrócić twarz, by ukryć rozczarowanie. Wyciągnął ręce, by pomóc jej zsiąść.

– Mogę?

Znów miał jej dotknąć. Te drobne oznaki szacunku stanowiły jego naturalny sposób bycia.

– Proszę.

Sięgnął, by objąć jej biodra. Gdy zsuwała się na ziemię wzdłuż całej długości jego ciała, oblał ją żar. Stanęła, wpatrując się w niego pod niebem skąpanym we wszystkich odcieniach fioletu i pomarańczy. Nad ich głowami zaczynały mrugać pierwsze gwiazdy.

– Czemu mnie tu przywiozłeś?

Dostrzegła, że lekko drgnął mięsień jego szczęki. Patrzyła zafascynowana, pragnąc dotknąć tej pięknej twarzy, zamknąć oczy i wodzić po niej palcami, by ją widzieć i czuć tak jak wtedy, w labiryncie.

– Chciałaś to zobaczyć.

Jej usta wygięły się w lekkim uśmiechu.

– Chciałam zobaczyć wiele rzeczy.

– To mogłem łatwo zorganizować.

Jego odpowiedź ją rozczarowała. Miał rację. To było łatwe – krótki galop przez pustynię. Zapewne chciał potrenować swego sokoła. Dopiero potem pomyślał, by zabrać i ją.

To nic dla niego nie znaczyło. Zbyt wiele sobie wyobraża.

Jego głos wtargnął w jej rozmyślania.

– I pragnąłem zobaczyć je z tobą. Twoimi oczyma. – A potem uniósł dłoń i delikatnie pogładził jej policzek. – Chciałem widzieć twój zachwyt. I być wtedy przy tobie.

Jej rozczarowanie ustąpiło radosnej ekscytacji.

Kiedy opuścił dłoń i o krok się cofnął, chciała krzyczeć. On tymczasem sięgnął do sakwy przy siodle i wyjął srebrną butelkę.

– Napijesz się wody?

Z wdzięcznością wzięła butelkę z jego rąk. Gdy piła, kropla wody spłynęła z jej warg. Zanim zdążyła zareagować, sięgnął, by ją otrzeć opuszkiem palca, a potem jeszcze przez chwilę nie odrywał go od jej ust.

Świat wokół niej wirował, podczas gdy Amir spokojnie wziął od niej butelkę, wypił nieco wody, a potem włożył ją z powrotem do sakwy.

– Chodźmy. – Jego głos brzmiał sucho, ale wiedziała dlaczego. Nie był zły ani zniecierpliwiony. Walczył z sobą, usiłując zapanować nad emocjami. Prowadził tę samą wojnę od pamiętnej nocy maskarady, gdy oboje dowiedzieli się, kim naprawdę są.

Teraz jednak, w oślepiającym przebłysku jasności umysłu zdała sobie sprawę, że ta wojna jest dla nich obojga skazana na przegraną.

– Czy ty…?

Kolejne zdanie, którego nie chciała, nie mogła, dokończyć.

– Czy ja…?

– Czy musisz go wiązać? – Wskazała gestem konia, nie odwracając wzroku od Amira.

Spojrzał krótko na zwierzę, po czym całą uwagę skierował na nią.

– Nie, będzie tu czekał.

– Bo wszystko i wszyscy w tym królestwie muszą ci być posłuszni?

Uniósł brwi. W gębi jego oczu błysnęło rozbawienie, a także coś, co wydało jej się znacznie bardziej groźne.

– Bo jest dobrze wytrenowany. – Przestąpił z nogi na nogę. – I owszem, posłuszny.

Buntowała się przeciw sobie, a jednak myśl o uległości wobec tego mężczyzny dawała jej jakąś zmysłową rozkosz, zaspakajała głęboko ukryte pierwotne instynkty. Zmusiła się w końcu, by o krok się od niego odsunąć, udając zainteresowanie ruinami. Zresztą w innej sytuacji nie musiałaby tego udawać. Ruiny były prastare i bardzo piękne, głęboko związane z historią i folklorem tego kraju. Pragnęła je zobaczyć, od kiedy pierwszy raz, jeszcze jako nastolatka, dowiedziała się o ich istnieniu.

Amir najwyraźniej dobrze je znał. Oprowadzał ją po budowli, a raczej jej pozostałościach, opisując przeznaczenie różnych części. Były tam kwatery dla służby, stajnie, sala jadalna i publiczny dziedziniec, gdzie wygłaszano obwieszczenia.

Jego wiedza i dar opowiadania przywracały kamieniom życie. Gdy mówił, Johara widziała barwy i ludzi, słyszała rżenie koni i stukot kopyt, a także śmiech i rozmowy.

– Nigdy nie przypuszczałam, że to takie piękne – zachwycała się, gdy prowadził ją dziedzińcem do wąskiego wyjścia. Nad ruinami wznosiła się wieża wartownicza.

– Służyła bezpieczeństwu – rzucił. – Umożliwiała obserwację całego terenu. – Prowadzące na górę schody były mocno nadszarpnięte zębem czasu. Wyżłobiły je piaskowe burze i ludzkie stopy.

– Nic nam tu nie grozi – zapewnił, gdy dotarli na szczyt i otworzył drzwi wychodzące na otwartą platformę. Była niewielka i nie miała balustrady. Gdy stali tam oboje, pozostawał jeszcze najwyżej metr wolnej przestrzeni. Johara instynktownie się do niego przysunęła.

– Często tu przychodzisz?

– Kiedyś tak. – Słońce zapadało za horyzont. Fiołkowe niebo wibrowało różowym blaskiem, a gwiazdy zaczynały lśnić jak diamenty.

– A teraz już nie?

– Mam o wiele mniej czasu.

– Racja. Jesteś szejkiem. – Dotknęła dłonią czoła, udając, że zapomniała. – Gdybym była tobą, przychodziłabym tu codziennie. Mimo wszystko.

Uśmiechnął się, słysząc jej westchnienie.

– Co ci się tu najbardziej podoba?

– Historia – odparła bez namysłu. – Poczucie jej ciągłości. Gdy mówiłeś o przeznaczeniu tych zabudowań, miałam wrażenie, że całe pokolenia wracają do życia.

– Interesuje cię historia?

– Interesują mnie lekcje, których nas uczy – odrzekła. – Nie robimy nic nowego. Nie pamiętając o przeszłości, wciąż będziemy popełniać te same błędy.

Z namysłem studiował jej twarz.

– Takie jak ta wojna?

– Właśnie takie.

– A jednak, choć wiemy, czym są wojny i jak źle się kończą, nadal jej toczymy. Może chęć walki jest po prostu częścią ludzkiej natury?

– I potrzeby dominacji? – Jej twarz spoważniała. – Chciałabym wierzyć, że możemy się wznieść ponad to.

– Wiele świadczy o tym, że jest wręcz przeciwnie.

– No cóż, to zapewne etap ewolucji.

– Jesteś beznadziejną optymistką. – Przypomniał sobie, co mówił ich pierwszej nocy.

– Niezupełnie. Myślę, że raczej realistką, która stara się widzieć dobro tam, gdzie to możliwe.

– Hm – mruknął. – A ja jestem realistą, który go nie widzi?

– Ty jesteś hiperrealistą. – Uśmiechnęła się do niego lekko, ale w miarę jak słońce znikało za horyzontem, uśmiech powoli znikał z jej twarzy.

– Patrząc w tę stronę, możesz zobaczyć góry. – Wyciągnął rękę na północ. Podążyła za nią wzrokiem, milcząc z wrażenia. – A z drugiej strony wyraźnie widać pałac, choć wtedy, gdy budowano tę wieżę, jeszcze go nie było.

Nad nimi, na tle ciemniejącego nieba kołował sokół. Johara nie mogła oderwać oczu od jego majestatycznego lotu. Miała wrażenie, że rozpościerając swe potężne skrzydła, za każdym razem otwiera przed nią tajemnice przeznaczenia.

W końcu oderwała od niego wzrok, by spojrzeć na Amira.

– Dziękuję, że mnie tu przywiozłeś.

– Nie dziękuj. Miałem czysto egoistyczne powody.

– Ach tak? – Jej głos brzmiał nie głośniej niż szept. – Chyba nie zamierzasz strącić mnie z tej wieży? – rzuciła lekko, chcąc się uwolnić od dławiącego napięcia.

Wolno pokręcił głową, a potem uniósł dłoń do jej włosów, delikatnie je muskając.

– Chciałem być z tobą sam, tak jak wtedy, w labiryncie.

Głos zamarł jej w piersi.

– Miałaś rację tamtego wieczoru.

Wciąż milczała.

– Chciałem cię potraktować jako… Jak to powiedziałaś?

– Kozła ofiarnego – dokończyła.

–Tak, kozła ofiarnego. – Uśmiechnął się gorzko. – Miałaś rację.

– Wiem. – Odwróciła od niego wzrok, lecz ujął jej podbródek i łagodnie zwrócił twarz ku sobie. Jego palce przesunęły się niżej, a gdy znalazły puls

u nasady jej szyi, musiał wyczuć jego gorączkowe bicie.

– Pragnę cię.

Wciąż milczała.

– Ale nie ja wyznaczam granice, do których to prowadzi. Nie leży to w mojej mocy.

Tak mocno kręciło jej się w głowie, że się zachwiała. Wyciągnął rękę i przyciągnął ją do siebie.

– Ten pokój jest kruchy. Jego trwałość stanowi najważniejsze zadanie w moim życiu. Muszę do tego doprowadzić. Całkowicie się temu poświęcić. Jeśli się rozniesie, że łączy nas coś osobistego – że Haddad i Kadir…

– Kochaliśmy się tylko jeden raz. Nikt nie musi o tym wiedzieć.

Zmarszczył brwi, patrząc na nią z powagą.

– Nie mówię o tamtej nocy. Mówię, że dziś, w tej chwili, stojąc tu z tobą, pragnę cię, Joharo. I pragnę cię całą. Kiedy jesteś tu, w moim kraju, chcę z tobą dzielić moje łoże i moje życie. Chcę cię mieć dla siebie, gdy tylko to możliwe. I nie mogę ci ponadto nic ofiarować. Decyzja należy do ciebie. Czy to ci wystarczy?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Czy to ci wystarczy?

Słońce zapadło za horyzont, pozostawiając na niebie łunę magicznych barw. Trzepot skrzydeł sokoła, wolny i rytmiczny, wprawiał ją w senność, choć zdawała sobie sprawę, że niecierpliwie czekał na jej odpowiedź. Chciała coś powiedzieć, ale jej usta wyschły jak pustynny piach.

Niewielka część jej mózgu zdolna do racjonalnego myślenia mówiła „nie”. To, co jej ofiarowywał, nie wystarczało. A przecież musiało wystarczyć. Nawet chwila z nim spędzona była bezcenna. Wiedziała, że to przelotne, że nie ma przed nimi przyszłości, ale brakło jej sił, by się oprzeć.

Zamrugała, sparaliżowana nieuchronnością tej decyzji. A potem przechyliła się w jego stronę.

Głęboko wciągnął powietrze, jakby chłonął jej bliskość.

Uśmiechnęła się.

– Tak – powiedziała, czując głęboką ulgę. To była słuszna decyzja.

Z jego ust wyrwało się krótkie westchnienie, gdy zamknął ustami jej usta. Nie przerywając pocałunków, sięgnął pod jej tunikę, uniósł ją i obnażył jej talię. W tej chwili złamał pieczęć. Gdy jego palce dotknęły jej ciała, z nieposkromioną siłą ogarnęło ich pożądanie. Gorączkowo zaczęli zrzucać swe okrycia i jednocześnie stanęli przed sobą nadzy.

Słońce już zaszło, ustępując ciemności, która zwolna okrywała niebo. Ukląkł i przyciągnął ją do siebie, a potem ostrożnie ułożył na plecach. Platforma była niewielka, ale wystarczająco obszerna, by mogli się

wygodnie położyć. Nie odrywając wzroku od jej twarzy, przykrył ją sobą i długo patrzył jej w oczy, jakby szukał w niej czegoś, czego nie umiała nazwać.

A może umiała, gdyż uśmiechnęła się tylko i skinęła, odpowiadając na jego milczące pytanie. Potem się uniosła i zaczęła muskać wargami jego usta, jakby się z nim drocząc, jednocześnie pieszcząc palcami włosy spływające mu na kark.

Oderwał usta od jej ust i powędrował ku dekoltowi, rozpalając ogień w każdym z miejsc, które kolejno całował. W milczącym przyzwoleniu wygięła się, bezwiednie znacząc paznokciami skórę jego pleców i ramion. Uśmiechnęła się, przypominając sobie, że to samo robiła owego wieczoru w labiryncie. Ale kiedy mocno ujął jej dłonie i przytrzymał je nad jej głową, przestała się uśmiechać. Siła ich wzajemnego pożądania wręcz ją przerażała.

– Nie ma już odwrotu – szepnął wprost w jej usta, jakby chciał wysłać te słowa w głąb jej duszy. Ale ona nie chciała odwrotu. Obojętna na wszystko pragnęła tego mężczyzny od chwili, gdy go ujrzała. Kiedy znowu poczuła go w sobie, ogarnęła ją ulga, która napełniła jej oczy łzami. Ich nierówne oddechy się mieszały. Z całą pasją swego pożądania oplotła go nogami, gdy zamknął jej ciało w objęciach. Pod ciemniejącym niebem Amir patrzył w zachwycie, jak raz po raz wstrząsały nią spazmy rozkoszy, zanim w końcu sam uległ ich niepowstrzymanej sile.

Leżeli potem w ciszy przez kilka minut, które mogły trwać dni lub miesiące. Na szczycie wieży, pośród pustyni, czas nie miał żadnego znaczenia. Byli jedynie cząstką istnienia pośród bezmiaru tych piasków i ich historii, wnosząc życie w tę jałową, piękną ziemię.

Teraz, gdy niebo pociemniało jak czarny atrament, Johara dostrzegła gwiazdy. Uśmiechnęła się, myśląc, że jedynie te ciała niebieskie były

świadkami ich bliskości. Że ich obecność uświęciła ją mocą przeznaczenia.

Amir oparł się na łokciu, uważnie wpatrzony w jej twarz. Uśmiechnęła się i uniosła dłoń, by objąć jego policzek i zmusić do spojrzenia jej w oczy.

– To było cudowne.

Jego napięte rysy złagodniały. Z uśmiechem ułożył się tak, by przytulić jej głowę do swej piersi, jednocześnie otaczając ją ramieniem. Mocno do niego przylgnęła, a on gładził ręką jej biodra, poruszając palcami tak wolno, jakby ją usypiał. Ale ona nie była senna. Przeciwnie, jeszcze nigdy nie czuła się tak żywa. Jej ciało płonęło i nie wierzyła, by cokolwiek mogło ten ogień ugasić.

– To jest… trudne. – Potrząsnął głową, a potem się roześmiał, patrząc jej w oczy. Dostrzegła w jego oczach to, co czuło jej sercu. Rezygnację. To było silniejsze od nich, a nawet od wojny. Nikt nie mógł z tym wygrać.

– Nie. – Ona też potrząsnęła głowa, a potem przycisnęła policzek do jego piersi. – Wręcz przeciwnie. To proste.

Wyciągnął rękę i splótł z nią palce, gładząc kciukiem wnętrze jej dłoni.

– No tak – westchnął. – To również proste.

Uwolniła dłoń i przesunęła opuszkiem palca po słowach wytatuowanych na jego piersi.

– Co to znaczy?

Poruszył się, zerkając na tatuaż, a potem skierował wzrok ku gwiazdom.

– *Amor fati* – powiedział cicho.

– Czyli „kocham…” – marszcząc czoło, próbowała przetłumaczyć.

– To Nietzsche – wyjaśnił. – Ten cytat oznacza „miłość do losu”. – Obrócił się, bacznie w nią wpatrzony, jakby chciał poznać jej reakcję.

Zamyśliła się.

– Chodzi o twój los? Ten, który ci przeznaczył rolę szejka?

Uśmiechnął się pobłażliwie.

– Do pewnego stopnia. Ale tu chodzi o wszystko. O śmierć moich rodziców, obowiązki, które mi przypadły… W pewnym okresie czułem, że im nie podołam. Pamiętam, jak przyjeżdżałem tutaj, mając szesnaście lub siedemnaście lat, i kładłem się tak jak teraz. Tyle że… – W kąciku jego ust pojawił się uśmiech. – No, może niezupełnie tak samo, bo nie było tu ciebie.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi, ale milczała. Nie chciała mu przerywać. – Leżałem, patrzyłem w gwiazdy i wydawało mi się, że niebo mnie przygniata i dusi swym bezmiarem. Jak to możliwe, bym ja, sierota bez rodziców i rodzeństwa, zdany tylko na płatnych doradców, mógł być przywódcą tego kraju?

– Jak na swój wiek dźwigałeś ogromną odpowiedzialność – powiedziała cicho.

– I tak to odczuwałem – odparł spokojnie. – Teraz jednak zdaję sobie sprawę, że ten ciężar był darem. Rządy w takim kraju jak ten, praca dla mego ludu, to wielka sprawa. – Powiódł ręką w stronę piaszczystych wydm wznoszących się nieopodal ruin fortecy.

– *Amor fati* – powtórzyła tylko.

– Tak. To tutaj zrozumiałem, że zbyt sobie pobłażam. Rozważania, czy mogę być szejkiem, nie miały sensu. Byłem nim. A więc musiało tak być.

– Jeśli przywiązujesz do tego jakieś znaczenie, to od razu uznałam to za oczywiste.

– Doprawdy?

Przytaknęła.

– Tamtego wieczoru, zanim jeszcze odkryłam, kim jesteś, w pewnym stopniu to przeczuwałam.

– Co mianowicie?

– Że jesteś władcą. – Jej twarz zwolna rozjaśniała się w uśmiechu. – Twój autorytet rzuca się w oczy, w naturalny sposób roztaczasz aurę władzy.

Krótko się roześmiał.

– Nawykłem do posłuchu.

– To znacznie więcej. Chodzi o twoje ruchy, sposób bycia i mówienia. Myślę, że los po prostu cię wybrał.

– Równie dobrze można by powiedzieć, że twój wuj wybrał mój los.

Jej oczy zalśniły, gdy przeszył ją ostry ból. Dostrzegł to i ze skruchą potrząsnął głową.

– Nie powinienem tak mówić.

– Nie. – Przygryzła wargę. – Ale masz rację. – Powiodła palcami po czarnych liniach tatuażu. – On… jest… ekstremistą. Zawsze taki był. Uważał, że moi rodzice są zbyt ugodowi, że sytuacja wymaga agresji. Że jedynie klęska Ishkany zapewni dobrobyt Taquulu. Chciał doprowadzić tę wojnę do końca, bez względu na metody.

– Chciał ludobójstwa. – Ton Amira był bezwzględny. – Ale lepiej nie mówmy o tym, Joharo. – Znów wymówił jej imię z odrazą.

Miał rację. Nic, co mogłaby powiedzieć, nie usprawiedliwiłoby zbrodni jej wuja. Osądzała go równie surowo jak Amir.

– Przepraszam – wyszeptała.

– To nie twoja wina. – W jego słowach nie było już gniewu. A potem sięgnął po nią i zaczął gładzić jej pierś.

Przebiegł ją kolejny dreszcz. Pozbawiał ją zdolności myślenia.

– Dlaczego po mnie posłałeś dziś wieczorem?

Nachylił się nad nią i musnął ją ustami.

– Nie powinienem tego robić. – Uniósł głowę z uśmiechem. – Po wizycie w bibliotece obiecałem sobie, że nie będę się do ciebie zbliżał. Ale potem zobaczyłem, jak na mnie patrzysz i zrozumiałem, że to nieuniknione. – Uniósł palec i przesunął nim po jej policzku.

– Wiedziałem, że jeśli przyjdziesz, to znaczy, że żadne zakazy ani trudności nie mają dla ciebie znaczenia. Posłałem po ciebie dlatego, bo nie potrafiłem się oprzeć.

Jęknęła, gdy zaczął ją całować. Jej ręce ciasno go oplotły, a wewnątrz zapłonął nieokiełznany ogień. Ulegając jego potężnej sile, opadła na zimny granit starożytnej wieży, gdy ich ciała ponownie się złączyły.

– Powinienem cię zostawić przy Zachodniej Bramie.

Nie zamienili słowa, od kiedy opuścili twierdzę. Każdy ruch wspaniałego rumaka zbliżał ich zarówno do pałacu, jak i do rzeczywistości, z którą musieli się zmierzyć.

– A ty? Dokąd jedziesz?

– Odprowadzę konia do stajni.

– Nie chcesz, by widziano nas razem?

Usłyszała, jak nerwowo wciągnął powietrze.

– Mówiliśmy już o tym. Musimy utrzymać w sekrecie to, co nas łączy.

– Tak, wiem. – Wpatrzona w końską grzywę spuściła oczy, gdyż zaczęły ją piec.

– Istnieją tysiące powodów, dla których nie możemy się z tym zdradzić. – Ściągnął wodze i zwalniając do stępa, nachylił się, przyciągając ją do siebie.

Na widok jej zasmuconej twarzy, zacisnął zęby.

– Joharo…

– Tak, wiem, to ta wojna. Ja pochodzę z Kadirów, a ty z Haddadów.

– Tak – potwierdził łagodnie, jednocześnie przyciskając czoło do jej czoła. – Ale chodzi o coś więcej. Masz poślubić Parisa. Pomyśl, co by się działo, gdyby prasa odkryła nasz romans. Jesteś zaręczona.

– Nie jestem zaręczona – zaprzeczyła.

– W oczach mediów jesteś i przypuszczam, że podobnie w oczach twego brata. To nieodwracalnie zniszczyłoby twoją reputację.

– To nie jest osiemnasty wiek, Amirze. Nikt nie oczekuje przy ołtarzu ofiary dziewictwa.

– Nie, ale jesteś księżniczką, a poddani pragną ideału.

Odsunęła się od niego, odwracając twarz w przeciwną stronę.

– Przypuszczam, że twoje życiowe plany są podobne do tych, jakie narzuca mi mój brat – stwierdziła ponuro.

Amir nie próbował udawać, że nie rozumie.

– Zapewne kiedyś się ożenię. Moje królestwo wciąż nie ma następcy tronu. Ale też nie ma nikogo, kogo nasz romans mógłby zranić.

– Paris i ja nie jesteśmy parą.

Amir zacisnął wargi.

– Jak już powiedziałem, jestem przekonany, że w oczach twojego brata wasze małżeństwo jest przesądzone.

– A zatem moje zdanie nie ma znaczenia?

– Owszem, ma. Dla mnie ogromne. Ale nie mogę mówić w imieniu twojego brata.

Jakie to powściągliwe! Jakie rozsądne! Chciała wręcz krzyczeć.

A jednak miał rację. Wiedziała już, czym jest natręctwo prasy. Po zerwaniu z Matthew reporterzy polowali na nią długie miesiące. Osaczali każdego, kto prywatnie znał ją lub jego i próbowali wycisnąć „prawdziwą

historię”. Wyciągali prywatne fotografie, by umieścić je w artykułach. Atak był tak brutalny, że skłonił ją do wyjazdu z Ameryki.

Oczywiście, pomijając nawet Parisa, romans z szejkiem Ishkany byłby wiadomością bulwersującą jej kraj. A brat mógłby jej tego nigdy nie wybaczyć.

Odwróciła się do Amira, zawstydzona swą dziecinną reakcją.

– Masz rację – potwierdziła stanowczo. – Wrócę przez Zachodnią Bramę.

Jego wzrok spoczął na jej twarzy, jakby chciał się o tym upewnić, zanim ściągnie wodze i zatrzyma konia.

Przed bramą stanął wśród rzędu granatowców.

– Masz jutro gęsto wypełniony harmonogram.

– Tak, wiem.

– Zobaczymy się dopiero po południu.

– Przy zwiedzaniu *masjid*?

– Tak, będę tam. Ale nie sam.

Objął dłońmi jej twarz.

– Spotkajmy się jutro wieczorem w lesie. Pamiętasz drogę?

Skinęła.

– Chyba tak.

– To dobrze. Będę czekał na samym skraju.

– O której?

Odtworzył w głowie plan własnych obowiązków pewien, że pamięta o najważniejszych.

– Będę tam od siódmej. Przyjdź, kiedy zdołasz.

Słyszała gorączkowe bicie swego serca. Siódma wieczór nazajutrz… to była wieczność.

Zeskoczył z konia i wyciągnął ręce, obejmując jej biodra mocnymi dłońmi. Lekko ją podniósł, a potem postawił na ziemi i mocno przytulił.

– Tak szybko, jak będziesz mogła. – Jego uśmiech przepełniony był smutkiem.

– Obiecuję.

Pocałował ją lekkim muśnięciem ust. Ale to jej nie wystarczyło. Pragnęła więcej. Nie chciała się z nim rozstawać. Wspięła się na palce i przywarła do jego piersi. Cicho jęknął, odpowiadając na jej pocałunek, lecz zaraz się odsunął. Patrzył na nią przez chwilę, nim wskoczył na konia, spiął go i szybko odjechał.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Po godzinie zwiedzania *masjid* Amir zaczął podejrzewać, że Johara znacznie lepiej odgrywa swą rolę niż on.

Wsłuchiwała się z uwagą w słowa *allamaha*, który oprowadzał ich po starożytnej świątyni. On sam nie potrafił się skupić. Zamiast uważnie słuchać, nieustannie szukał jej wzrokiem. Pragnął, by na niego spojrzała, chciał zobaczyć tęsknotę w jej oczach.

Musiał wiedzieć, że niczego nie żałowała.

Nie sposób było zaprzeczać, że łączy ich wzajemna silna chemia. Ale niebezpieczeństwo, które obojgu groziło, było równie poważne. Czyż nie powinien jej przed nim chronić, tłumiąc swoje uczucia? Czy dla jej dobra nie powinien wykazać więcej siły?

A co z moimi poddanymi? – pytał wewnętrzny głos. Co by powiedzieli, gdyby wyszło na jaw, że łączą go intymne stosunki z księżniczką Taquulu?

Świeżo zawarty pokój był zbyt ważny, by narażać go na takie ryzyko.

Za wszelką cenę należało utrzymać to w sekrecie.

Przysiągł sobie, że więcej na nią nie spojrzy.

– Gniewasz się na mnie? – szepnęła pytająco, gdy szli obok siebie przez ogromną salę prowadzącą ku cedrowym podwojom. Było ich razem czworo, ale *allamah* i Ahmed się oddalili. Amir pospiesznie się do niej odwrócił.

– Dlaczego tak mówisz?

– Masz taką poważną twarz. I nie chcesz nawet na mnie spojrzeć.

– Chcę uniknąć podejrzeń – odparł, patrząc przed siebie.

Cicho się zaśmiała.

– Psujesz całą zabawę. – Zanim się zorientował, do czego zmierza, zbliżyła się o krok, a jej ręka musnęła jego dłoń.

Spojrzał na nią karcąco.

– Joharo… – rzucił ostrzegawczo.

Uśmiechnęła się figlarnie.

– Zrelaksuj się. Nie zamierzam się zdradzić. – Ponownie musnęła jego dłoń. – Spokojnie, na pewno tego nie zrobię. To gra. Spróbuj się trochę bawić.

Chwilę później skręcił, a ona nadal szła z nieodgadnioną twarzą.

– Na zewnątrz zebrał się tłum. Lepiej, żebyś wyszła tylnym wyjściem.

– Nie przyjechałam tu po to, by się wykradać. – Spojrzała na niego z oburzeniem. – Powinniśmy demonstrować wspólny front.

Zawahał się, a potem przytaknął.

– Masz rację.

Zachowywała się z niezwykłą swobodą. Jej uśmiech bezbłędnie ukrywał to, co musiała odczuwać, będąc w samym sercu Ishkany tuż po zakończeniu wojny. Jeśli nawet żywiła niechęć do jego poddanych, doskonale ją ukrywała.

Jakaś kobieta z tłumu zaczęła coś do niej wołać. Zobaczył, że Johara do niej podchodzi. Niebezpiecznie blisko. Powinna się zatrzymać, zachować dystans. Przywołał gestem Ahmeda, który też to dostrzegł i dał znak ochronie, by interweniowała.

Ale było za późno.

Mężczyzna stojący z przodu zamachnął się i cisnął jakimś przedmiotem, który poszybował w powietrzu, a następnie zaczął opadać wprost na Joharę. Amir zamarł, po czym klnąc, ruszył biegiem w jej stronę, ale nie mógł już niczemu zapobiec. W chwili, gdy próbował ją osłonić, coś uderzyło ją prosto w pierś. Woń była charakterystyczna. Kawa. Gorąca, czarna kawa rozlała się na jej białą suknię, plamiąc ją i mocząc.

Ogarnęła go furia. Sprawca już uciekał, ale on był szybszy. Wpadł między tłum, złapał go za kołnierz i przytrzymał.

– Wasza Wysokość – rozległ się naglący głos Johary. – Nic się nie stało. To drobiazg.

Ale Amir niemal jej nie słyszał. Nie był człowiekiem gwałtownym, teraz jednak, trzymając sprawcę jedną dłonią, drugą zaciskał już w pięść.

– Zabieramy go. – Ahmed sięgnął po winowajcę, który drżał z przerażenia.

– Skoro odważasz się na takie czyny, miej odwagę ponieść ich konsekwencje, tchórzu! – rzucił gniewnie Amir, gdy Ahmed wyprowadzał mężczyznę, a dwaj funkcjonariusze ochrony eskortowali Joharę do limuzyny czekającej za budynkiem. Amir ruszył za nimi i wsunął się na miejsce obok niej. Gdy tylko wóz ruszył, natychmiast się do niej obrócił. Była blada, jej palce lekko drżały, ale nic więcej się nie stało.

Gdyby nie siedzący naprzeciw dwaj agenci ochrony, wyciągnąłby rękę i ujął jej dłoń. U diabła! Porwałby ją w ramiona, posadził na kolanach i całował tak długo, aż zapomni o tej zniewadze.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość. – Był głęboko wstrząśnięty. – Zapewniam, że ten człowiek poniesie karę.

– Proszę tego nie robić – westchnęła. – Czemu miałby ponosić karę za coś, co do niedawna byłoby chwalebnym czynem?

Amir zagryzł zęby.

– Jesteś moim gościem – mruknął. – Ręczyłem honorem za twoje bezpieczeństwo.

Spokojnie na niego spojrzała.

– Przecież jestem bezpieczna, prawda?

– To mogło być…

Pokręciła głową.

– Ale nie było. Czuję się tylko zażenowana.

W tym momencie zaczął wibrować jej telefon. Sięgnęła do kieszeni, by go wyjąć. Z ekranu patrzyła na nią twarz brata. Zerknęła na Amira. Bez wątpienia on też ją widział.

Lekko się od niego odsunęła.

– Mal? To nie jest dobry… – Zmarszczyła czoło. – Nie, nic mi nie jest.

Czuła, że Amir sztywnieje.

– Jak już powiedziałam Jego Wysokości Szejkowi Amirowi, to była tylko kawa.

– Nie obchodzi mnie to. – Malik był wzburzony. – Co ci przyszło do głowy, żeby zbliżać się do tej dziczy!

– Skąd wiesz, że się zbliżyłam?

– Wszystko jest już na You Tube.

– O rany… – Pokręciła głową. – Dzięki ci, internecie.

– Chcę, żebyś natychmiast wróciła.

Serce jej zamarło. Bezwiednie spojrzała na Amira.

– To nonsens. Z powodu rozlanej kawy?

– To równie dobrze mogła być bomba. Albo pocisk.

– Ale nie była. Ten człowiek nie miał takich zamiarów. Kierował nim gniew. Trudno zaprzeczyć, że ludzie mają do tego prawo.

– Ale ty nie powinnaś cierpieć z tego powodu – skwitował Malik.

– Ależ ja wcale nie cierpię.

– To jest…

– Dość już. – Patrzyła na Amira, ale mówiła do Malika. – Wszystko wyolbrzymiasz. To była spontaniczna reakcja człowieka, który ucierpiał podczas wojny. W gruncie rzeczy należałoby to zbagatelizować. Mogłabym na przykład włączyć do jutrzejszego programu wizytę w palarni kawy czy coś w tym rodzaju. Okazać poczucie humoru. A już na pewno nie zgodzę się na ukaranie tego człowieka. – Spojrzała surowo na Amira.

– Ale on…

Przerwała mu tak energicznym machnięciem dłoni, że jej delikatne bransolety lekko zabrzęczały.

– Tak, tak, rzucił we mnie kubkiem z ciepłą kawa. Moja suknia jest w opłakanym stanie, a w internecie pojawił się żenujący filmik. I co z tego? Czy zdajesz sobie sprawę, co się stanie, jeśli przesadnie zareagujemy?

Amir nachylił się lekko w przód, uważnie jej słuchając.

– Tysiące ludzi, których rany są wciąż świeże, staną w obronie tego człowieka. Potraktujmy jego wyczyn ze zrozumieniem i współczuciem, czego nikt się nie spodziewa. Wtedy nasza postawa spowoduje właściwy oddźwięk.

Amir przesunął wzrok na agentów ochrony. Byli zbyt dobrze wyszkoleni, by patrzeć na Joharę, ale na ich twarzach malowało się zdumienie i podziw.

– A teraz się uspokój. – Mówiła wprawdzie do brata, ale nie spuszczała wzroku z Amira, a on wiedział, że kieruje te słowa również do niego. – Opanuj emocje i nie martw się o mnie. Jestem bezpieczna i nie mówmy o tym więcej.

– To niewybaczalne.

Ahmed przytaknął.

– Bez wątpienia. Policja niezwłocznie wniesie oskarżenie. On musi za to zapłacić.

Amir również tego pragnął. I to bardzo. Ale nie umiał zignorować woli Johary.

Westchnął.

– Nie. Przyprowadź go tutaj. – I dodał po chwili namysłu: – Chcę z nim pomówić.

– Pomówić… z nim?

– Jej Wysokość jest pełna miłosierdzia. Chciałbym się przekonać, czy ten mężczyzna na to zasługuje. Wprowadź go.

– Umiesz zjednywać sobie ludzi.

Były to pierwsze słowa, które wypowiedział, gdy wiele godzin później, po siódmej wieczór, przyszła do lasu. Przyciągnął ją do siebie i zamknął w ramionach.

Spuściła oczy, jakby zakłopotana jego uznaniem.

– Naprawdę tak uważam. – Ujął ją pod brodę i uniósł ku sobie jej twarz. A potem, niezdolny się powstrzymać, zaczął ją całować. – Nic ci się nie stało?

Pokręciła głową.

– To była tylko kawa.

– Gorąca kawa w plastikowym kubku.

– Myślałam, że chcesz go uderzyć.

– Bo chciałem.

– Dobrze, że tak się nie stało.

– Wezwałem go do siebie po południu – przyznał.

Uniosła brwi.

– Tego mężczyznę, który oblał mnie kawą?

– Tak. Ahmed przyprowadził go na moje żądanie.

Czuł, że stopniowo ogarnia ją niepokój.

– Dlaczego?

– Chciałem się przekonać, czy miałaś rację.

– I miałam?

– Miałaś.

Odetchnęła.

– Zazwyczaj ludzie nie atakują kogoś bez powodu.

– Nie. – Przytrzymał gałąź winorośli, czekając, aż Johara pod nią przejdzie. – Jego brat bliźniak zginął w czasie wojny. Tuż przed końcem.

Jej twarz przepełniło współczucie.

– Tak niedawno?

– Właśnie.

– Gdyby więc zawarto pokój wcześniej…

– Mógłby nadal żyć – potwierdził sucho. – Dlatego to takie ważne, by za wszelką cenę utrzymać ten stan.

– Utrzymacie. – Zatrzymała się, by na niego spojrzeć. – Wiem, że Mal jest równie oddany tej sprawie jak ty. Przy takiej determinacji wasze wysiłki muszą odnieść sukces.

Nie musiał odpowiadać. Oboje wiedzieli, że wiele przyczyn mogło naruszyć to wątłe porozumienie. Ich romans był jedną z najważniejszych. Dzisiejsze popołudnie ujawniło wrogość drzemiącą pod powierzchnią spokoju.

Ale tego popołudnia patrzył również w oczy człowieka, który poniósł bolesną stratę. I zamiast wymierzyć mu surową karę, długo z nim rozmawiał. Umiał współczuć cierpieniu, gdyż sam dobrze je znał.

Johara pod każdym względem miała rację. Jej mądrość była równie zadziwiająca, jak jej spokój w obliczu trudnej sytuacji.

Byłaby wspaniałą władczynią.

Ta myśl poruszyła go do głębi. Zatrzymał się, patrząc w dal. Zbliżali się do skraju lasu, do miejsca, gdzie rzeka wpadała do małego jeziora otoczonego zewsząd przez skały. Była to własność pałacu, a zarazem ostatni zbiornik wodny przed wejściem na pustynię.

– Co się stało, Amirze?

Otrząsnął się z rozważań. Johara była niewątpliwie inteligentna i światowa, ale nie mogła zostać jego żoną. Sama myśl o tym wprawiała go w panikę, gdyż podsuwała wizję na nowo rozpętanej wojny. Poza tym ta kobieta stanowiła przeciwieństwo jego wyobrażeń o żonie, gdyż ta powinna być… Ale właściwie jaka? I dlaczego nie umiał sobie tego wyobrazić? Bo był z nią. I widział, chciał widzieć, tylko ją.

– Myślałem o Parisie – odparł z braku lepszego pomysłu.

– Naprawdę? – zdziwiła się. – Dlaczego?

Ruszył dalej, zmuszając się do uśmiechu.

– Zastanawiałem się, dlaczego twój brat tak usilnie pragnie cię za niego wydać.

– Bo od lat się przyjaźnią – odparła prosto.

– I co?

Roześmiała się.

– No tak, to niewiele wyjaśnia. – Z namysłem przechyliła głowę. – To porządny chłopak.

– Jedyny taki w Taquulu?

Zgromiła go spojrzeniem, ale uniósł jej dłoń do ust i ucałował koniuszki palców.

– Żadna z tych odpowiedzi mnie nie zadowala.

– Wiem – westchnęła. – Widzisz, Mal jest wobec mnie bardzo opiekuńczy…

– Z jakiegoś powodu? – rzucił zdawkowe pytanie, lecz nim jeszcze wybrzmiało, wiedział, że odpowiedź jest znacznie bardziej skomplikowana, niż oczekiwał.

Zacisnęła usta i uciekła spojrzeniem w bok.

– Pewnie o tym czytałeś.

– O czym?

Znów westchnęła.

– Nie udawaj, Amir. To było dawno temu.

– Zapewniam, że nie próbuję oszczędzać twych uczuć, *inti qamar*. Naprawdę nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Na dźwięk tych czułych słów podniosła oczy. „Mój księżycu”… Tak nazwał ją wtedy, w labiryncie. Teraz było to nader aktualne, gdyż księżyc nad ich głowami świecił potężnym blaskiem, roztaczając magiczną aurę.

– No cóż… – Z niechęcią zmarszczyła brwi. – Byłam młoda, ufna i nie będę ukrywać, że zakochałam się po uszy.

Stłumił ukłucie czegoś, co przypominało zazdrość.

– Proszę, mów.

– Spotykaliśmy się ponad rok – ciągnęła. – Ale wszystko źle się skończyło, a brukowa prasa długo na tym żerowała.

– Prasa zawsze tak robi. Tak już jest z gazetami…

Nie słyszała go, pogrążona w myślach.

– To było straszne. Miałam dwadzieścia jeden lat i byłam bardzo naiwna. Co gorsza, naprawdę go kochałam.

Amir słuchał ze ściśniętym sercem.

– Nie był godny twojego zaufania?

Gorzko się roześmiała.

– Ani trochę.

Niecierpliwie czekał.

– Rzecz nie w tym, że mnie oszukiwał, ale po naszym rozstaniu okazało się, że sprzedaje brukowej prasie wspomnienia o naszym związku. W dodatku pełne kłamstw i fałszu. Zmyślał na przykład, że w Rzymie uprawialiśmy zbiorowy seks albo że byłam z nim w ciąży. Wszystko dla pieniędzy! – Żałośnie pokręciła głową. – Zapłaciłabym, gdybym wcześniej wiedziała, o co mu naprawdę chodzi.

Amir sięgnął nad głowę i złamał jakąś gałązkę z nadmierną siłą.

– Ale myślę, że chciał mnie też zranić, a przy okazji odzyskać swą dawną popularność. Gdy byliśmy parą, nieustannie ścigali go paparazzi i rozpisywały się o nim blogi. – Potrząsnęła głową. – Włoska edycja „Vogue`a” umieściła nawet jego zdjęcie na okładce. Po naszym rozstaniu już nikt się nim nie interesował.

Amir cicho zaklął.

– Co za szuja.

Cicho parsknęła.

– To samo powiedział Mal.

– Twój brat o tym wiedział?

– To on odkrył całą prawdę.

– I co zrobił?

– Zapłacił mu za milczenie. – Skrzywiła się z odrazą. – Ostatnio słyszałam, że zamieszkał gdzieś w Australii.

– Oby jak najdalej.

– No tak. – Przygryzła dolną wargę. – Malik nie chce dopuścić, by ktoś znów mnie zranił, a Paris jest dobrym człowiekiem i jego przyjacielem. Malik w pełni mu ufa.

Amir poczuł, że wzbiera w nim protest.

– To chyba nie znaczy, że masz za niego wyjść.

– Nie – zgodziła się cicho. – Ale…

Wstrzymał oddech.

– Nie powinniśmy o tym rozmawiać.

– Dlaczego? – Z trudem narzucił głosowi naturalny ton.

– Bo sypiamy ze sobą.

– I oboje wiemy, że na tym się skończy. Nie żywię w sekrecie pragnienia, by cię poślubić – dodał, jakby chciał ośmieszyć ten pomysł.

– Tak, wiem o tym. – W jej cichym głosie zabrzmiał ból. Poczuł się jak ostatni drań. Ale kiedy słuchał, jak mówi o swym małżeństwie z innym mężczyzną, chciał podpalić świat. Nie zdawał sobie sprawy, że jest aż tak zaborczy, a jednak…

Ta rozmowa stała się nagle trudna dla obojga. Stanęli na skraju lasu. Byli tak blisko siebie, że słyszeli bicie swych serc. Nagle tuż nad ich głowami przeleciała *juniya*, odwracając uwagę od kłopotliwego tematu. Johara podążyła wzrokiem za ptakiem i wtedy po raz pierwszy dostrzegła jezioro. Na widok spokojnej tafli skąpanej w gwiezdnej poświacie wydała okrzyk zachwytu.

– Co to jest?

Spojrzał jej oczyma na potężne skalne bloki, cichą wodę u samych granic pustyni i potężne drzewa, które górowały nad całą okolicą, nie gasząc światła gwiazd.

– To mój basen – uśmiechnął się, z ulgą zmieniając temat i ciągnąc ją za rękę. – Chcesz popływać?

Rzuciła mu nerwowe spojrzenie.

– Nie mam kostiumu kąpielowego…

Przyciągnął ją do siebie, pocierając nosem jej nos.

– Nie słyszałaś? To jest teren prywatny…

Roześmiała się, sięgając do guzików swej bluzki.

– Rozumiem.

Cofnął się, gdy zdejmowała ubranie, a potem zsuwała z siebie koronkową bieliznę, by na koniec stanąć przed nim naga. Gardłowo jęknął, a ona z niemym pytaniem w oczach postąpiła krok w jego stronę. Skinął przyzwalająco, gdy ujęła w dłonie materiał jego szaty i wolno, nieznośnie wolno, zaczęła go rozbierać, stopniowo odsłaniając nagą skórę. Po chwili nachyliła się i przylgnęła do jego piersi, wodząc ustami po tatuażu i jednocześnie szepcąc: *Amor fati* – słowa, które sięgały w głąb jego serca i duszy, w samo sedno istnienia.

Kochał swój los. Z trudem to wypracował w efekcie licznych zmagań. Ale nie miał go dzielić z tą kobietą. Była szaleństwem – przejściową, grzeszną rozkoszą, której zupełnie nie umiał się oprzeć.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Jak długo mieszkałaś w Nowym Jorku?

Johara musnęła palcami taflę wody. Była tak szczęśliwa, że nie wiedziała, ile spędzili tu już czasu. Godzinę? Mniej? Więcej?

– Prawie cztery lata.

Ściągnął brwi.

– Dziwisz się?

– Dziwię się, że twój brat do tego dopuścił.

Uśmiechnęła się pobłażliwie.

– Początkowo Mal nie był zachwycony.

Czuła, że Amir sztywnieje, słysząc pieszczotliwe zdrobnienie imienia Malika.

– Ale go przekonałaś?

– Powiedzmy, że osiągnęliśmy kompromis.

Oderwała od niego wzrok.

– To znaczy?

– Ustaliliśmy, że wyjadę tylko na pewien czas.

Twarz Amira spochmurniała.

– Na pewien czas? Póki nie zażąda, żebyś wróciła?

Chciała bronić Malika, ale prawdę mówiąc, warunki, które w tamtym czasie wydały jej się rozsądne, teraz budziły jej sprzeciw.

– Mniej więcej. – Wzruszyła ramionami. – Jestem przecież księżniczką. Moim miejscem jest mój kraj.

– A gdzie naprawdę chciałabyś być?

Szeroko otworzyła oczy. Nigdy nikt jej o to nie pytał.

– Gdybyś nie była księżniczką – powtórzył cicho – gdzie chciałabyś żyć?

Jej serce gwałtownie zabiło. To, co przyszło jej na myśl, było wprost niedorzeczne. Spędziła w Ishkanie zaledwie pięć dni, a poza tym ten kraj nigdy nie chciałby jej gościć. Mimowolnie spojrzała na Amira. Jej milcząca odpowiedź brzmiała: Gdziekolwiek jesteś ty.

Próbując się uśmiechnąć, odsunęła się od niego i popłynęła do brzegu. Ruszył za nią.

– Nie umiesz odpowiedzieć?

O tak, umiała. Ale nie chciała go przerazić. Przygryzła wargę i rzuciła lekkim tonem:

– Muszę pamiętać, kim jestem, Amirze. A nazywam się Johara Kadir i jestem księżniczką Taquulu. I choć uwielbiam Nowy Jork, zawsze wiedziałam, że pewnego dnia wrócę do swego kraju, by podjąć rolę przeznaczoną mi od dnia urodzin.

Ale ta odpowiedź go zawiodła. Mówiły to jego oczy i napięte rysy twarzy.

Zmarszczył brwi.

– Rozumiem, że brat wymaga twojej obecności w Taquulu, ale czy ślub z Parisem również należy do waszej umowy?

Patrząc na spływające z jej palców krople wody, myślała, jak czasem pozornie nieistotne decyzje miewają dalekosiężne konsekwencje.

– Tak. – Odwróciła wzrok. – Tego życzy sobie mój brat.

– A czego ty sobie życzysz? Czy to ma znaczenie?

– Mogę powiedzieć „nie” – mruknęła, nie chcąc patrzeć mu w oczy, by nie dostrzegł w nich bólu. – Nie może mnie zmusić. Wie, że gdyby spróbował, na zawsze opuszczę Taquul. Decyzja należy do mnie.

Przyciągnął ją mocno do siebie i trzymał w ramionach, długo na nią patrząc. Wokół zapadła cisza. Nawet *juniya* zamilkła.

– I nikogo nie było w Nowym Jorku?

Oddech zamarł jej w piersi.

– Przeciwnie, Manhattan jest gęsto zaludniony.

Nie roześmiał się. Lekko przesunął kciukiem po jej dolnej wardze, badawczo patrząc jej w oczy.

– Nie spotkałaś nikogo, kto by cię tam zatrzymał?

Pokręciła głową.

– Liczyły się tylko dzieci. Były cudowne. Pokochałam wszystkie, z którymi pracowałam. No i miałam przyjaciół. Mam ich do dziś. Ale nie, nie było żadnego mężczyzny.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– Dlaczego?

– Bo jesteś…

W oczekiwaniu wstrzymała oddech. Pragnęła, by skończył to zdanie.

Ale on tylko pokręcił głową z wymuszonym uśmiechem.

– Cztery lata to dużo czasu.

Wolno odetchnęła.

– To prawda, ale Matthew na długo odebrał mi wiarę w siebie.

Znów zapadła cisza. Zaczęła już żałować, że tyle mu wyznała. Że powierzyła mu żałosny sekret swej przeszłości.

Ale wtedy jego dłonie ją objęły i wyciągnęły z wody. Gdy tulił ją do siebie, poczuła się bezpieczna. Spełniona.

– Nigdy bym cię nie zranił.

Głos uwiązł jej w gardle.

– Wiem – wykrztusiła z trudem. Gdy patrzyła w świetle księżyca na jego twarz, ogarniał ją spokój. W jego ramionach była prawdziwie sobą, w swej najdoskonalszej postaci.

– Nie mogę znieść myśli, że jakiś mężczyzna potraktował cię w ten sposób.

– A jednak tak było. – Próbowała nadać głosowi obojętny ton, ale mimo upływu czasu wciąż z bólem o tym myślała. Nie tyle z powodu zachowań Matthew, ile z winy własnej naiwności i braku rozsądku. Zlekceważyła rady i ostrzeżenia swego brata i słono za to zapłaciła.

– Chciałbym ci jutro coś pokazać.

Nagła zmiana tematu zupełnie ją zaskoczyła. Uniosła brew, czekając, co jeszcze powie.

– W pałacu jest galeria sztuki. Czy chciałabyś ją ze mną zobaczyć?

– Oczywiście, bardzo – odparła szczerze. – Ale mam już szczelnie wypełniony harmonogram.

– Twój harmonogram uległ pewnej zmianie.

Patrzyła na niego w osłupieniu.

– Dlaczego?

– Ze względu na twoje bezpieczeństwo.

– To był tylko skrzywdzony człowiek z kawą – zaprotestowała. – A poza tym nie możesz ingerować w ustalenia pracowników mojego departamentu stanu.

– Mam obowiązek zapewnienia ci bezpieczeństwa. – Zniżył głos. – Zresztą i oni sugerują ograniczenie twoich spotkań z elementami, których reakcje są nieprzewidywalne.

– Czyli z ludźmi?

Uśmiechnął się, ale nie była rozbawiona. Ogarnęło ją rozdrażnienie.

– Amirze, mam tu określone zadanie. I chcę je wykonać.

– Nikt ci w tym nie przeszkodzi – zapewnił. – Najważniejsze spotkania się odbędą. Program jest tylko skrócony, to wszystko. – Wolno przesunął wzrokiem po jej twarzy. – Ale jeśli się nie zgadzasz, możemy przywrócić jego poprzednią wersję. Ufam twoim decyzjom.

Ufam twoim decyzjom. Te słowa do głębi ją poruszyły. Nigdy dotąd od nikogo ich nie słyszała.

Uniosła dłoń, by pogładzić jego policzek.

– Dziękuję ci za troskę.

– To mój obowiązek. Jesteś moim gościem.

Wciąż starannie przestrzegał granic. Od początku zachowywał dystans.

– A więc ci ustąpię – zgodziła się. – Ale tylko w tej sprawie.

Szczerze się roześmiał.

– Jakże mógłbym pomyśleć, że i w innej.

Ona również parsknęła śmiechem, ale dobrze znała przyczynę swej kapitulacji. Dzięki ograniczeniu oficjalnych zajęć mogła spędzić z nim więcej czasu. Jej wizyta dobiegała końca. Musieli najlepiej wykorzystać dni, które pozostały.

– Wasza Wysokość… – Ahmed był wyraźnie zaniepokojony. – Jest czwarta rano. Gdzie byłeś, panie?

Amir nie spodziewał się, że jego powrót do pałacu nie ujdzie uwadze. Spojrzał na swego sługę, zastanawiając się przez chwilę, co odpowiedzieć,

nim przypomniał sobie, że wcale nie musi odpowiadać. Przed nikim nie musiał się tłumaczyć.

– Czy coś się stało?

Ahmed wpatrywał się w niego zdumiony. Jego pan miał mokre włosy i wkroczył do pałacu półnagi ze swą kandorą przerzuconą niedbale przez ramię.

Po rozstaniu z Joharą Amir był zbyt rozkojarzony, by się ubierać. Uśmiech błąkał mu się na ustach, a wspomnienia tego wieczoru burzyły krew. Wciąż widział, jak się nad nim nachyla, czuł dotyk jej włosów muskających jego ramiona. Wciąż był jej niesyty.

Ledwie się rozstali, a już nie mógł się doczekać, by znów ją zobaczyć.

– Tak, sir. Otrzymaliśmy raport wywiadowczy. Na pogórzu zbiera się banda rebeliantów.

Amir gwałtownie się ocknął. Przywołany do rzeczywistości z żalem odsunął wspomnienia.

– No tak, to nie trwało długo – odparł spokojnie.

– Niestety, sir. – Głos Ahmeda był równie zrównoważony.

– Niech to…– Amir przeczesał dłonią włosy. – Zaczekaj w biurze. Będę za dwadzieścia minut. I wezwij Zeba – dodał, mając na myśli szefa agencji ochrony.

– Tak jest, sir.

– Pani włosy wyglądają jak ptasie gniazdo – orzekła ze śmiechem Athena. – Co takiego się stało?

Johara uśmiechnęła się, wspominając każdy szczegół minionej nocy.

– Trochę pływałam – wymknęło jej się, zanim zdołała się zorientować. – Patrząc w lustro, napotkała spojrzenie Atheny. – Sama. Zobaczyłam jakiś strumień, a że nikogo tam nie było…

Athena patrzyła na Joharę, jakby ta postradała zmysły.

– Wasza Wysokość…

– Nie niepokój się. Nikt mnie nie widział. – Johara uspokajająco położyła dłoń na jej ramieniu.

Dostrzegła w oczach służącej wahanie. Były zaprzyjaźnione, ale ich relacje miały szczególny charakter. Athena nigdy nie przekroczyła dopuszczalnej granicy poufałości, choć Johara często tego pragnęła.

– Co takiego, Theno? – zwróciła się do niej zdrobnieniem, jak zawsze wtedy, gdy chciała zignorować dzielące je różnice i porozmawiać z nią jak z przyjaciółką.

Ale uśmiech Atheny oznaczał koniec rozmowy.

– Zastanawiam się właśnie, jak uczesać Waszą Wysokość. Chyba upnę kok, by uporządkować ten nieład.

– To twoi rodzice? – Przystanęła, patrząc na pięknie wykonany portret.

– Tak. – Stojący przy niej Amir prawie się nie odzywał. – Namalowano go w rok po ich ślubie.

– Jest piękna. – I była. Artysta uchwycił w rysach jego matki coś, co sprawiło, że Johara instynktownie poczuła łączącą je więź. Przesunęła spojrzenie na Amira. Świadoma, że zewsząd otacza ich służba, narzuciła swej twarzy chłodny wyraz i utrzymywała dyskretny dystans. – Masz jej oczy.

Odpowiedział jej równie chłodnym spojrzeniem, lecz było to daremne. Nieważne, jak bardzo starali się utrzymać pozory obojętności, żar trawił ich oboje, a palce drżały z pragnienia, by móc się nawzajem dotykać.

Jej policzki oblał rumieniec i wiedziała, że to zauważył, gdyż na jego ustach pojawił się figlarny uśmiech. Pospiesznie się odwróciła, wchodząc w głąb holu, gdzie jej wzrok padł na portret innej pary.

– To moi dziadkowie – objaśnił. Przy kolejnym portrecie zatrzymała się dłużej, chcąc mu się dokładniej przyjrzeć.

– A to ty.

Zdumiał się. Obraz powstał, gdy był małym chłopcem.

– Jak się domyśliłaś?

– Widzę tu twoje oczy – odparła poważnie. – I twój uśmiech.

Nie zauważyli, kiedy zbliżył się do nich Ahmed.

– Proszę wybaczyć, Wasza Wysokość – zwrócił się wyłącznie do Amira.

– Co takiego? – Amir był wyraźnie zniecierpliwiony.

– Są nowe wiadomości. Zeb czeka na pana w biurze.

Amir ściągnął z zakłopotaniem brwi, ale skinął, obracając się do Johary.

– Muszę się tym zająć. – A potem, widząc, jak jest zawiedziona, nachylił się i dodał zniżonym głosem: – Zaraz wracam.

To było zbyt jawne. Czuła, że palą ją policzki. Odwróciła się, udając obojętność.

– Nie szkodzi, Wasza Wysokość. Jest tu wiele interesujących rzeczy.

Amir nie zwlekał. Obrócił się i ruszył w głąb korytarza. Patrzyła za nim, aż zniknął za rogiem, a wtedy uświadomiła sobie, że Ahmed wciąż stoi w miejscu i uważnie się jej przygląda.

Zmusiła się do uprzejmego uśmiechu.

– Widzę tu prawdziwe dzieła sztuki.

– Tak, pani.

Miał lodowaty, niechętny ton. Odwróciła się, próbując to zignorować. W dalszym ciągu oglądała galerię, ale nie umiała poświęcić obrazom należnej uwagi. Nie mogła się skupić. Jej myślami bez reszty zawładnął Amir.

– Moja matka często grała na pianinie – powiedział cicho. – I to bardzo dobrze. Kiedy byłem dzieckiem, potrafiłem godzinami jej słuchać.

Johara sięgnęła po winogrono, szczęśliwa, że w końcu są sami. Wymagało to wielu wybiegów, ale zdołali jakoś odprawić służbę i ukryć się w jego prywatnym skrzydle, po którym oprowadzał ją w dniu jej przylotu.

Gdy to wspominał, nie mógł wprost uwierzyć, jak wiele wydarzyło się od tamtej pory.

– A ty też umiesz grać?

Pokręcił głową.

– Niestety nie odziedziczyłem jej muzykalności.

– Gry można się nauczyć – zauważyła.

– Tak, ale jedynie techniki, a nie pasji i wyczucia.

– Czuję, że nigdy nie odważę się zagrać w twojej obecności – oznajmiła.

– Grasz na pianinie?

– Tak. – Sięgnęła po kolejne grono, ale uprzedził ją i sam zerwał, a potem nie odrywając wzroku od jej oczu, wsunął między jej wargi. – O dziwo, była to jedna z umiejętności, w których się wyróżniałam.

– Twoja dysleksja nie utrudniała ci czytania nut?

– To nie było możliwe. – Roześmiała się. – Ale potrafię zagrać wszystko, co usłyszę.

– Zdumiewasz mnie.

– Nie ma powodu.

Wsunął w jej usta kolejne słodkie grono.

– Po prostu tak funkcjonuje mój mózg.

– Chciałbym posłuchać twej gry.

Nachyliła się, muskając ustami koniuszek jego nosa.

– Przecież powiedziałam, że nie odważę się przy tobie grać.

– A jeśli ci rozkażę? – spytał rozbawiony.

– Z pomocą jakiej armii?

Przysunął się i ujął jej nadgarstki, by unieść je nad jej głowę, jednocześnie popychając ją tak, by opadła plecami na poduszki.

– Nie słyszałaś, co obejmuje moja władza?

– Również mnie? – spytała bez tchu, czując na sobie ciężar jego ciała.

– Przede wszystkim ciebie.

– Nie jestem twoją poddaną – przypomniała mu. – Jestem wrogiem.

Spojrzał na nią z powagą.

– Nie jesteś wrogiem.

Dziwnie ją to podniosło na duchu, ale nie chciała analizować znaczenia jego słów z obawy przed rozczarowaniem. Dalej się więc droczyła.

– Na moją uległość trzeba zasłużyć.

Uśmiechnął się leniwie, uwalniając jedną z jej dłoni, a potem przesunął palcem wzdłuż jej ciała, dotykając piersi, by zaraz zsunąć się niżej i na koniec ująć rąbek jej długiej sukni.

– Mam nawet pewien pomysł.

Policzki jej płonęły. Wstrzymała oddech, czując, jak jego palce wędrują po wnętrzu jej ud. Gdy nachylił nad nią swą ciemną głowę, ogarnęła ją niepowstrzymana fala rozkoszy. Uniosła się, pragnąc więcej, niż mógł jej dać. Wsunęła palce w jego gęste włosy, zdolna wymówić tylko dwie sylaby: – A… mir. Powtarzała je raz po raz, niczym zaklęcie, które mogło powstrzymać to, co nieuchronne.

Ale nie chciała myśleć o przyszłości. O tym, co nastąpi za dwa dni, gdy ich czas dobiegnie końca i odleci nad górami do Taquulu.

Nie potrafiła. Nie teraz, gdy pogrążała się w bezbrzeżnej rozkoszy.

Wiedział, że powinni opuścić to prywatne sanktuarium. Był szejkiem, i choć przed nikim nie musiał się tłumaczyć, nie mógł po prostu znikać na całe godziny, nie budząc podejrzeń. Jego nieobecność nie mogła ujść uwadze. Tak jak i jej zniknięcie.

Ale ciężar głowy, która spoczywała na jego piersi, był zbyt słodki. Zapragnął jeszcze chwilę leżeć z nią na rozrzuconych poduszkach, pośród woni kwiatów i szmeru wody. Jedynie tutaj, w jego własnym świecie, mógł ją wielbić tak, jak pragnął.

– Przyjdziesz tu dziś wieczorem?

Tym pytaniem zaskoczył sam siebie. Nie zamierzał go zadać, lecz teraz nie żałował, że to zrobił.

– Oczywiście – odparła z rozbawieniem. – Tylko powiadom ochronę, że wpadnę do ciebie na krótki numerek. Przecież to nikogo nie zdziwi.

Roześmiał się, odwracając się do niej.

– Jest tu sekretne przejście.

Spojrzała mu w twarz.

– Tu? W twojej sypialni?

– Tak.

– Po co? – wykrzyknęła, lecz zaraz zrozumiała. – Ach tak, właśnie po to…

Znów parsknął śmiechem.

– Zgadłaś.

– A więc to w ten sposób… sprowadzasz sobie… kochanki?

Słyszał w jej głosie żal i pragnął ją zapewnić, że nie ma powodu do zazdrości. Nigdy nie znał takiej kobiety jak ona. I wątpił, by kiedykolwiek mógł poznać.

– Nie, Joharo. Nigdy tego nie robię.

– Och… A więc po co…?

– Widzisz… ten pokój przez setki lat był sypialnią szejków. – Uniósł ramiona. – I wszystkie pałacowe konkubiny, które umilały czas moim przodkom, przychodziły tym tajemnym tunelem.

Szeroko otworzyła oczy.

– Chyba żartujesz.

– Ani trochę.

– Ale…

– Ale co?

– To chyba ryzykowne ze względów bezpieczeństwa.

– Nikt nie wie o istnieniu tego przejścia.

– Chcesz się założyć? Jestem pewna, że twoi wrogowie byliby gotowi wiele zapłacić za taką informację.

– Ten pałac jest strzeżony jak forteca.

– Wiem o tym.

– Jest bezpieczny.

– To też wiem. – Przygryzła dolną wargę, a jej twarz spochmurniała, lecz po chwili westchnęła z rezygnacją.

– No dobrze. Jak mam je znaleźć?

W odpowiedzi przyciągnął ją do siebie i zanim zdążyła odetchnąć, zaczął ją całować, jakby wszystko, co miało znaczenie, zależało od niej. Przywarli do siebie jak dwie części rzeźby wykutej w marmurze, a gorączkowy rytm serc zagłuszył ich słowa.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Pukanie, które się nagle rozległo, było głośne i natarczywe. Amir ocknął się i ruszył ku drzwiom, szybko wciągając spodnie. Za drzwiami stał Ahmed, lecz nie sam. Za nim zobaczył Zeba i jego podwładnych.

Amir zamknął za sobą drzwi, by zasłonić swe łoże i kochankę, po czym zerknął na zegarek. Dochodziła czwarta. Tylko bardzo ważne powody mogły usprawiedliwić wtargnięcie tak licznej grupy mężczyzn do jego prywatnych apartamentów.

– O co chodzi?

Ahmed nisko się skłonił.

– Doszło do zamachu.

Amir zesztywniał.

– Gdzie?

– W prowincjach *malani.*

Zacisnął powieki. Budził się w nim gniew.

– Ofiary?

– Na razie potwierdzono dwie śmiertelne.

Wściekle zaklął.

– Rebelianci?

Ahmed spojrzał na Zeba.

– Rebelianci z Taquulu – powiedział cicho. – Zdetonowali bombę przed jednym z nocnych klubów.

– Są poważne straty?

– To świeża sprawa. Wciąż napływają raporty.

– Kto za to odpowiada?

– Jeszcze nie wiemy – mruknął Zeb. – Bomba ma oznaczenia państwowe, ale wyczucie czasu byłoby co najmniej nierozważne…

– No tak. – Amir nieświadomie spojrzał przez ramię. To niewyobrażalne, by ktokolwiek z armii Malika mógł dokonać zamachu podczas wizyty Johary w Ishkanie.

– Jaka jest skala zniszczeń?

Ahmed drgnął.

– Znaczna, sir. Budynek leży w gruzach.

Amir hamował wściekłość.

– Postawiłem straż graniczną w stan gotowości.

Amir zastygł. Takie były procedury. Zeb postąpił właściwie, ale ten scenariusz był mu zbyt dobrze znany. Uświadomił sobie, że w jednej chwili wszystkie pokojowe wysiłki mogą zostać unicestwione.

– Potrzebujemy więcej informacji – powiedział.

– Sir? – Ahmed z oburzeniem nastroszył brwi.

– Nie wiemy, czy to bandycki wyczyn jakiegoś wojskowego watażki, atak rebeliantów czerpiących zyski z zamieszek, czy też zorganizowana z poparciem państwa agresywna akcja na spornym terenie. Musimy mieć pewność, co się, u diabła stało, i dlaczego, zanim zareagujemy.

– Wasza Wysokość… – Ton Zeba był naglący. – Musimy reagować. Nie znamy wszystkich szczegółów, ale wiadomo, że ten atak naruszył zasady pokojowego traktatu. Twoi poddani będą oczekiwać…

– Moi poddani pragną pokoju – odparł cicho Amir. Zbyt dobrze pamiętał smutek w oczach mężczyzny, który cisnął kawą w Joharę, by w to

wątpić. – A nie bezmyślnego odwetu, który znów pogrąży nas w wojnie.

Odpowiedziało mu milczenie.

– Księżniczka… – Zeb miał niepewny wraz twarzy i spojrzał na Ahmeda, zanim skończył – byłaby dobrą kartą przetargową. Moglibyśmy uzyskać przeprosiny Malika, obciążyć go odpowiedzialnością…

Amir poczuł, że ogarnia go wściekłość i obrzydzenie.

– Nawet jeśli nie miał z tym nic wspólnego?

– Trudno mi uwierzyć, by bez jego wiedzy mogło dojść do ataku na taką skalę.

– Tego musimy się dowiedzieć. Tymczasem Jej Wysokość pozostanie naszym czcigodnym gościem. Niech nikt nie waży się rozmawiać z nią na ten temat ani myśleć o jakimkolwiek sposobie wykorzystania jej osoby. Zrozumiano?

Zeb zmarszczył brwi.

– Mam obowiązek doradzać Waszej Wysokości w kwestii strategii militarnych…

– W porządku. Już doradziłeś.

– Liczba ofiar może sięgać setek. Musi pan działać, sir. Zarządziłem mobilizację jedenastej dywizji. Mogą odbić jedną z naszych górskich placówek…

– Nie. – Potrząsnął głową, po czym dodał bardziej ugodowym tonem. – Na to jest za wcześnie.

– Za wcześnie? A zniszczenia? Liczba ofiar…

– Nie prowadzimy wojny.

– A zatem co to jest, jeśli nie akt wojny? – warknął Zeb wyraźnie zniecierpliwiony.

Amir zmroził go spojrzeniem, które budziło powszechny lęk. To podziałało. Zeb opanował emocje. Bo choć szejk pozwalał swym doradcom na wiele swobody, to on sprawował tu najwyższą władzę.

Teraz spokojnie zwrócił się do mężczyzn:

– Za piętnaście minut zwołuję spotkanie w sali odpraw. Oczekuję więcej informacji. I chcę rozmawiać z Malikiem Kadirem. Załatw to jak najszybciej, Zeb. – Poszukał wzroku Ahmeda. Odnalazł w nim to, co zawsze – zrozumienie i akceptację. – Chciałbym wyrazić się jasno. Będę dążył do utrzymania pokoju. – Głos mu złagodniał. – Rozumiem wasze uczucia, ale odwet znów wskrzesi to, co znamy. Walkę o pokój można wygrać jedynie dyplomacją, a nie wojskową przemocą.

Przerwał, wiedząc, co musi zrobić. Nienawidził tej konieczności. Ale dla jej bezpieczeństwa…

Pamięć podsunęła mu obraz twarzy matki. Takiej, jaką widział po raz ostatni – w grobowcu w podziemiach pałacu. Obawy ustąpiły postanowieniu. Za wszelką cenę musi chronić Joharę.

– Johara Kadir natychmiast opuści nasz kraj – zwrócił się do Zeba. – Dopilnujesz, by odbyło się to bezpiecznie. To dziś twoje najważniejsze zadanie, Zeb. Jeśli cokolwiek jej się stanie…

– Wiem. To na nowo rozpocznie wojnę.

Amir odczekał, aż się oddalą, zanim otworzył drzwi sypialni. Johara patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Coś złego?

Chciał zachować to dla siebie, ale miała prawo do informacji. Poza tym wiedział, że jej brat niechybnie się z nią skontaktuje.

– Tak.

– Co takiego?

Zacisnął zęby, ruszając w jej stronę.

– Był zamach. W jednym z północnych miast wybuchła bomba podłożona przez ludzi z Taquulu.

Na jej twarzy odmalowało się zdumienie, a potem smutek.

– Mówiłeś, że to nastąpi.

– Tak, ale miałem nadzieję… – Potrząsnął głową. W rzeczywistości jej nie miał. Wiedział, że trwały pokój wymaga syzyfowej pracy, choć wciąż do niego dążył. Dla dobra swych poddanych starał się choćby o szansę.

– Są ranni?

– Tak.

– Zabici?

– Dokładnej liczby nie znamy, ale spodziewamy się wielu ofiar.

Zakryła twarz dłońmi i spuściła głowę. Wiedział, że czuje to, co on – żal, bezradność i gniew.

– Musisz jak najszybciej stąd zniknąć.

Skinęła, rozglądając się za swym ubraniem.

– Owszem, nie powinnam była zasnąć. Co mam teraz zrobić?

Patrzył na nią długo, pragnąc zachować jej obraz w pamięci. Wiedział, że może już nigdy jej nie zobaczyć. Nie potrafił opisać słowami szczęścia tych ostatnich dni. Ale nadszedł ich kres. W oczach jego narodu, a także rządu, była wrogiem. Każda minuta jej obecności w Ishkanie narażała ją na ryzyko.

– Jak mogę ci pomóc?

Jej słowa działały jak balsam. Nikt nigdy nie oferował mu pomocy. Ale jej nie przyjął.

– Nie zrozumiałaś, Joharo. Musisz opuścić Ishkanę. Zorganizowałem już transport. Wyjedziesz zaraz, w nocy, zanim do wszystkich dotrze ta wiadomość.

Zatrzepotała rzęsami.

– To jest… Nie.

Znów go zaskoczyła. Nigdy mu się nie zdarzało słyszeć od kogoś „nie”.

– Nie rozumiesz. Ja nie proszę.

Zmrużyła oczy.

– Więc to rozkaz?

Westchnął i ruszył przez pokój, zbierając części garderoby. Nie chciał być kolejną osobą, która jej coś narzuca.

– Uprzedzam cię tylko, co może się stać. Jeśli wybuchnie wojna, nie możesz tu zostać. To zbyt poważne ryzyko.

– Wojna nie wybuchnie. Ty i mój brat nie dopuścicie do tego.

– Nie wiem nawet, czy ten zamach nie nastąpił z jego inicjatywy.

Zastygła w pół zdania.

– Chyba nie mówisz serio.

Spojrzał na nią poważnie.

– Nie. – Zmarszczył czoło. – Ale wojna z Taquulem to nie nowość.

– Tym bardziej powinniśmy zwalczać takie podejrzenia.

Bezradnie pokręcił głową. Dlaczego nie mogła zrozumieć?

– Ważni członkowie mojego rządu już domagają się odwetu.

– Nie możesz do tego dopuścić.

Zacisnął zęby.

– Muszę zrobić to, co najlepsze dla mojego kraju.

– A najlepszy jest pokój. Oboje o tym wiemy.

– Tak, Joharo, lecz może się okazać, że pokój nie jest możliwy.

– Nie uwierzę. Pozwól mi zostać tu z tobą i wspólnie dowieść, że oboje do niego dążymy. Czyż nie to było celem mojego przyjazdu?

Serce waliło mu w piersi. Pospiesznie narzucał na siebie ubranie, nie podnosząc na nią wzroku.

– Teraz wszystko uległo zmianie.

– Nie musi tak być. – Gwałtownie ruszyła w jego stronę. – Od początku wiedziałeś, że pojawią się trudności. Naprawdę chcesz się poddać przy pierwszej z nich?

– Nie. – Sięgnął po koszulę. – Ale twoja obecność wszystko komplikuje. Musisz natychmiast wyjechać.

– Dlaczego? Komu to coś komplikuje?

– Uosabiasz wszystko to, co mój naród nauczył się nienawidzić. A także czego się bać.

– Ja? – Serce mu się ścisnęło na widok wyrazu jej twarzy. – Jestem tylko kobietą, która przybyła tutaj z otwartym sercem i przyjaznymi zamiarami. Twoi poddani się o tym przekonają. Tylko mnie nie odpychaj. Pozwól mi zostać. Pokaż ludziom, że oboje pragniemy pokoju i wierzymy w jego możliwość… Dlatego musimy przerwać tę spiralę nienawiści. Wspólnie nad tym pracować…

– To zadanie dla mnie i twojego brata – odparł stanowczo. – Jeśli to był incydent, zamach przygotowany przez górskich rebeliantów, spróbujemy podjąć z nimi rozmowy, postaramy się ich zrozumieć tak samo, jak tego mężczyznę, który cię zaatakował. Zmieniłaś mnie, Jo. Inaczej postrzegam teraz konflikt, wojnę i ludzi. – Miał gardłowy, nabrzmiały bólem głos. To wyznanie wiele go kosztowało.

Przerwał, sposobiąc się do tego, co musiał jej powiedzieć.

– Nie możesz tu zostać. Jesteś dla mnie ciężarem. – Wiedział, że musi być twardy, by w końcu zrozumiała sytuację. Odsunął się od niej. Miał wrażenie, że osuwa się w przepaść, gdy mówił: – Rozpraszasz moją uwagę. Nie chcę tego, Joharo. Dlatego musisz wyjechać. Zaraz.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Rozpraszasz moją uwagę. Nie chcę tego, Joharo. Dlatego musisz wyjechać. Zaraz.

Jego bezwzględne słowa ugodziły ją w samo serce. Z trudem oddychała. W każdej sytuacji byłyby bolesne, ale teraz, gdy stała półnaga w jego pokoju, czuła się rozpaczliwie bezbronna. Poza tym mu nie wierzyła, gdyż mówiąc to, podważał wszystko, co ich łączyło.

Drżącymi palcami zapinała biustonosz.

– Zupełnie mnie nie znasz, jeśli myślisz, że należę do osób, które czmychną przy pierwszej okazji.

– A więc rób, co chcesz, ale u siebie, w Taquulu. Ishkanę musisz opuścić, i to zaraz, zanim wszyscy się obudzą.

– Wtedy pomyślą, że uciekłam. Że to, co mówiłam, nie miało żadnego znaczenia.

– Znacznie bardziej zaniepokoi ich perspektywa nowej wojny. Czy ty to rozumiesz, Jo? Właśnie odprawiłem szefa tajnych służb, który się domaga, by cię uwięzić. Jeśli się okaże, że ten zamach miał cokolwiek wspólnego z waszym rządem, twojemu życiu zewsząd będzie grozić niebezpieczeństwo. Tu, w Ishkanie, niemal dla wszystkich jesteś wrogiem.

Cała drżała. W jego oczach nie było cienia ciepła.

– Wyjedziesz dziś rano. To postanowione.

– Ty nic nie rozumiesz! – Ostatkiem sił próbowała protestować. Zwolna ogarniał ją lęk, ale musiała nad nim zapanować. Walczyła o znacznie więcej

niż kiedykolwiek dotąd. – Nie chcę stąd wyjeżdżać teraz ani jutro. Chcę zostać z tobą tutaj, w Ishkanie, na resztę życia. Nic poza tym mnie nie obchodzi.

Wyraz jego twarzy był nieodgadniony. Tak długo milczał, że ogarnęła ją rezygnacja. Bezradnie opuściła ręce.

– To niemożliwe – dotarł do niej w końcu jego cichy głos. Uniósł dłoń, by dotknąć jej twarzy. – W innej sytuacji też bym tego pragnął. Ale nie mamy przed sobą przyszłości *into qamar*. Zawsze o tym wiedzieliśmy.

Cofnął się, a ona zrozumiała, że na tym wszystko się kończy. Podjął ostateczną decyzję i nie miał nic więcej do powiedzenia.

Zastąpiła mu drogę, gdy zmierzał do drzwi.

– Kocham cię, Amirze! – krzyknęła w rozpaczy. Zatrzymał się i stał w zupełnym milczeniu. – Zakochałam się bez pamięci. W tobie, lecz nie tylko w tobie, bo również w twoim cholernym kraju. Chcę tu zostać jako twoja żona i żyć u twego boku. Bez względu na ryzyko, chcę być z tobą.

Czekała. Jej płuca paliły, a ręce ciążyły jak kamienie.

– Nie chcę twojej miłości.

Drgnęła, niezdolna w to uwierzyć.

– Nigdy jej nie odwzajemnię.

Potrząsnęła głową. Wciąż nie wierzyła. Walcząc z falą goryczy, wyrzuciła tylko:

– Nic, co byś powiedział, nie zmieni moich uczuć.

W milczeniu skierował się ku drzwiom. W progu na moment się obrócił.

– Zapomnij o mnie, Joharo. Wracaj do domu, do Taquulu. Żyj własnym życiem i bądź szczęśliwa. Proszę…

Helikopter uniósł się nad pałacem, a on patrzył, jak znika w blednącym o świcie niebie. Wystarczyło jego jedno słowo, a pilot zawróciłby maszynę z pasażerką.

Nie, to niemożliwe.

A co, gdyby nie był szejkiem? Gdyby ona nie była księżniczką?

Szybko odsunął od siebie zbędne rozważania. Był szejkiem, władcą Ishkany, i nad wszystko przedkładał dobro swego kraju.

Musi w końcu przestać o niej myśleć.

– To naprawdę rozsądne, Jo.

Sztywno wyprostowana słuchała swego brata, jednocześnie spoglądając na niezwykły widok za oknami. Nieskończone przestrzenie białego, drobnego piasku spotykały się tam z przeczystym błękitem nieba. To samo widziała ze szczytu starożytnej fortecy. Ileż było podobieństw między Taquulem i Ishkaną…

– Chyba zdajesz sobie z tego sprawę. Pragnęli tego nasi rodzice, pragnę tego ja, i, oczywiście, on również tego pragnie. A myślę w głębi duszy, że ty również się ku temu skłaniasz.

– No cóż… – odparła, przeciągając sylaby. – Cieszę się, że wspomniałeś i o mnie.

Zawsze lubiłam Parisa, uważam go za przyjaciela. Ale nie zamierzam go poślubić.

Malik zamilkł zdumiony.

– Co w ciebie wstąpiło? Od powrotu z Ishkany jesteś… odmieniona.

– Nie zmieniłam się, bo nigdy nie zamierzałam wyjść za Parisa. – Westchnęła. – Rozumiem, czemu sobie tego życzysz. Ale go nie poślubię.

– Bardzo mu na tobie zależy.

Od jej powrotu minęły cztery tygodnie. Dzięki jej wysiłkom, dyplomatycznym zabiegom i upartemu dążeniu do celu utrzymano pokój między Taquulem i Ishkaną. Życie wróciło do normy, a ona codziennie wykonywała swoje obowiązki, udając kobietę, którą kiedyś była. Bo choć jej ciało wróciło do Taquulu, to dusza została w Ishkanie. Dlatego wątpiła, by kiedykolwiek mogły się połączyć.

– Nie mogę za niego wyjść – powtórzyła. Tym razem kategorycznie.

– Dlaczego?

– Dlaczego? – Pragnęła wykrzyczeć prawdę. Z wysiłkiem wstała i podeszła do okna. Tuż za węgłem rozciągał się labirynt. Zamknęła oczy. – Tak, zmieniłam się – wyszeptała, a po chwili usłyszała szelest szat swego brata, który stanął tuż za nią. – W Ishkanie wydarzyło się coś, co mnie zmieniło.

– Co tam się stało, Jo? – dopytywał niespokojnie. – Czy ktoś cię skrzywdził?

– Nie, wręcz przeciwnie. Traktowano mnie z całym należnym szacunkiem.

A ponieważ od miesiąca dźwigała nieznośny ciężar niewypowiedzianych słów, wymówiła je w końcu na głos, by wreszcie to usłyszeć i może lepiej zrozumieć.

– Zakochałam się – wyznała, odwracając twarz do brata. – Dlatego, proszę, nie ponawiaj swych próśb.

– Zakochałaś się? – powtórzył oszołomiony. – W kim?

Ale zaraz, nie czekając na odpowiedź, gwałtownie się żachnął.

– O nie, tylko nie w nim!

– A jednak… – Na widok wstrząsu, jakiego doznał Malik, w zakłopotaniu splotła palce, ale pozostała niewzruszona.

– Joharo, chyba nie mówisz serio.

Przygryzła dolną wargę.

– Kocham go.

– Ten człowiek jest… on jest…

– Kim jest? – Ogarnął ją gniew. – Wojna się skończyła.

– Ale uprzedzenia zostały. – Malik gniewnie machnął ręką. – Może jesteś gotowa zapomnieć o tej wojnie, ale nasz naród nie. Pochłonęła zbyt wiele ofiar, zadała zbyt wiele cierpień. Takie rany długo się goją, a ty, jako księżniczka Taquulu, nie możesz postępować, jak ci się spodoba.

– Oczywiście, że mogę. – Wytrzymała jego surowe spojrzenie. – Nie dam się opętać wspomnieniom wojny, która już się skończyła. I nie umiem nienawidzić mężczyzny, którego niedawno poznałam. Kocham go, a ty nie możesz zmienić mojego serca ani woli.

Malik patrzył na nią z gniewem i niedowierzaniem.

– Kategorycznie ci zabraniam. Poślubisz Parisa i na tym koniec.

Rzucił jej miażdżące spojrzenie, po czym odwrócił się w stronę drzwi. Ale gdy głośno trzasnęły, Johara nawet nie drgnęła.

Amir obiecał sobie, że nie będzie o nią pytał. W tym dniu jego prywatne uczucia nie miały znaczenia. Po sześciu miesiącach dyplomatycznych zabiegów doszło do spotkania z Malikiem Kadirem. W ten sposób dwaj przywódcy mieli zademonstrować zaangażowanie w proces pokojowy.

Pragnę stać u twego boku… – wciąż słyszał jej głos. – Kocham cię.

Ale nie będzie o nią pytać.

Za kilka minut ceremonia dobiegnie końca. Jeszcze uścisk dłoni specjalnie dla prasy, a potem wsiądą do osobnych samochodów i rozjadą się w przeciwne strony.

Podpisano dokumenty – zniesienie sankcji, kolejne umowy handlowe, początki współpracy gospodarczej, która miała wzmocnić oba kraje. Na

tym zakończono formalności.

– Teraz nas zostawcie. – Amir rozejrzał się po sali, kierując te słowa do doradców zarówno jednej, jak i drugiej strony.

Malik skinął, potwierdzając jego polecenie.

Rozległo się szuranie krzeseł, odgłos kroków na kamiennej posadzce, a potem otwieranie i zamykanie drzwi. Zostali sami.

– Te umowy są korzystne dla obu stron – zaczął niepewnie Malik. – Przyniosą naszym obywatelom liczne korzyści.

Amir milcząco przytaknął. Nie będzie o nią pytać.

– I bardzo aktualne – dodał, wstając z wyciągniętą ręką, by zakończyć spotkanie.

Jeśli miał spytać, to była ostatnia okazja. Wciąż dręczyło go pytanie: Co u niej? Jak się miewa? Tylko tyle. Czy jest szczęśliwa?

– Teraz będę mógł się zająć przygotowaniami do ślubu mojej siostry – rzucił od niechcenia Malik. Amir poczuł ostry ból, który przeszył mu serce. Opanował wprawdzie wyraz twarzy, ale jego ciało zesztywniało.

– Ślubu?

– Tak – odparł Malik swobodnie i na pozór bez ukrytych motywów. – Przecież poznałeś jej narzeczonego. To Paris.

Amir przytaknął i wstał. Miał wrażenie, że żelazna obręcz ściska mu pierś.

– Tak, oczywiście. Kiedy odbędzie się ślub?

– W przyszłym tygodniu. – Malik wyciągnął dłoń, w którą Amir milcząco się wpatrywał. Chciał coś powiedzieć. Zadać jakieś pytania. Dowiedzieć się więcej.

Ale nie miał prawa.

– Proszę przekazać Jej Wysokości…. moje najlepsze życzenia.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Manhattan działał na nią jak balsam. Powróciła tu jedynie na pewien czas, ale i to wiele znaczyło. Stłumiła ziewnięcie, zadowolona, że miniony wieczór przyniósł wymierne korzyści. Jej stowarzyszenie zdołało pozyskać fundusze na otwarcie nowego gabinetu terapeutycznego. W chwili gdy przemawiała do zebranych gości, czuła się niemal znów sobą.

Niemal.

Bo wciąż nie mogła zapomnieć. Zbyt wiele zostało w miejscu, do którego nie miała wstępu. Gdy upłynęły trzy miesiące od jej wyjazdu z Ishkany, przestała liczyć dni. Zrozumiała, że Amir nie zmieni swej decyzji. Chciał, by wyjechała. I pewnie już o niej zapomniał.

Dzień po dniu pełniła obowiązki ciążące na niej w Taquulu. Udawała, że cieszy ją życie, które straciło sens. Z nikim nie rozmawiała o Amirze ani o Ishkanie, nawet z bratem, który w końcu przestał nalegać, by poślubiła Parisa. Na razie. Dzień po dniu oddawała się licznym zajęciom, oddychała, jadła, spała i się uśmiechała, jednocześnie czując rozpaczliwą pustkę. Pogodziła się z myślą, że już zawsze będzie na niego czekać, myśleć o nim i tęsknić, chociaż nigdy więcej go nie zobaczy i nie dotknie. Wierzyła, że cierpienie ją zahartuje. Że nadejdzie czas, gdy odzyska swą dawną siłę. Musiała ją odzyskać. Wokół było zbyt wiele smutku i śmierci, by samolubnie poddać się rozpaczy.

Jej samochód zatrzymał się przed luksusowym wieżowcem, w którym mieszkała podczas pobytu w Stanach. Ktoś z ochrony zbliżył się, by

otworzyć jej drzwi. Nie zwracała uwagi na obecność strażników przy wejściu do budynku. Zamieszkiwało go tak wiele ważnych osobistości, że były to rutynowe środki ostrożności. W otoczeniu ochrony weszła do holu.

Uwolniona od publicznych obowiązków mogła nareszcie zrzucić maskę oficjalnego uśmiechu. Na jej zmęczonej twarzy pojawił się na chwilę wyraz smutku i osamotnienia.

Zaraz się jednak ocknęła na dźwięk zatrzymującej się windy. Weszła do niej w towarzystwie jednego z ochroniarzy, ale zanim drzwi się zamknęły, do kabiny wszedł jeszcze jeden mężczyzna. Najwyraźniej też agent ochrony, ale nie z jej ekipy.

Sekundę później do windy wsunął się drugi mężczyzna. Podniosła wzrok i poczuła, że ziemia usuwa jej się spod stóp. Oparła się o ścianę. Nie, to nie on, nie Amir. To przywidzenie, wybryk jej wyobraźni, bo jakże by inaczej mógł stać na wprost niej w tej windzie na Manhattanie?

Jego rozpalone oczy intensywnie się w nią wpatrywały, a twarz zastygła w nieprzystępną maskę. Cała drżała, gdy otworzyła usta, by coś powiedzieć, zapytać, czy to naprawdę on, ale nie mogła dobyć głosu.

– Chciałbym prosić o spotkanie z Jej Wysokością – zwrócił się do jej ochroniarza.

Agent spojrzał na nią pytająco. Widziała, że ma wątpliwości. Pokój między ich państwami był wciąż niepewny. Agent nie chciał obrazić potężnego szejka, a jednocześnie nie mógł wyrazić zgody, gdyż jego żądanie było wysoce niewłaściwe.

Powinna coś powiedzieć. Na jej usta cisnęły się tysiące pytań. Co tu robił? Dlaczego przyjechał? Od ich rozstania minęło wiele czasu. Za wiele. Odwróciła twarz. Jego uroda, siła i zdrowie były dla niej obrazą. Ich rozstanie nie odcisnęło na nim śladu. Był równie piękny, jak dawniej. Jakby nic się nie zmieniło.

– Jestem zmęczona. – Jej słowa zabrzmiały szczerze, gdyż była naprawdę wyczerpana.

– Rozumiem. – W jego głosie brzmiało współczucie. Dostrzegł to, co ukrywała przed światem. Potrafił wejrzeć w jej serce.

Teraz, gdy był obok, cierpiała jeszcze bardziej. Drzwi windy się zasunęły, ale kabina wciąż stała. Minęło kilka sekund, zanim Amir sięgnął do panelu, by ją uruchomić.

– To ważne – dodał z naciskiem.

Nagle ogarnął ją gniew. To, co usłyszał w noc przed jej wyjazdem, też było ważne. Powiedziała wtedy, że go kocha, a on zignorował to, jakby nic dla niego nie znaczyła.

– Jestem zmęczona – powtórzyła, kręcąc głową.

Dostrzegła, że lekko drgnął mięsień jego szczęki, lecz tylko skinął, przyjmując to do wiadomości.

– A zatem jutro.

Z trudem łapała oddech. Jutro zdawało się równie odległe jak rok. Nie zaśnie, wiedząc, że jest blisko.

Przygryzła wargę. Niech to diabli, poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Gwałtownie zamrugała, próbując je powstrzymać.

– Nie mamy o czym rozmawiać, Wasza Królewska Mość. – Jej głos drżał. – W sprawach oficjalnych istnieją ustalone procedury.

– To sprawa prywatna.

Musiała mocno oprzeć się o ścianę. Winda stanęła i jego ochroniarz wysiadł, przytrzymując jedną ręką drzwi.

– Na tym piętrze jest mój apartament – poinformował krótko Amir. – A to klucz do mojego pokoju. Wyjeżdżam jutro o piątej po południu. Jeśli

chciałabyś wysłuchać tego, co mam do powiedzenia, przyjdź. O każdej porze, Joharo. Będę czekał.

Nie odpowiedziała. Niczego nie obiecała. Nie mogła. Stała niema i sparaliżowana.

Obrócił się i wyszedł, a jednak wciąż tam był, choć winda się zamknęła i ruszyła w górę. Czuła jego zapach i dotyk. Przepełniały ją ból, tęsknota i miłość, a także wszystko, co je łączy i dzieli.

O trzeciej nad ranem uznała, że nie zdoła już zasnąć. Wstała z łóżka i podeszła do okna, by spojrzeć na migotliwe morze nowojorskich świateł. Ale prawie ich nie widziała. Mogła myśleć tylko o nim. Czy podziwiał ten widok? Czy też o niej myślał?

To prywatna sprawa.

Co to znaczy?

Oddychając nerwowo jak w gorączce, odwróciła się w stronę łóżka i spojrzała na stolik obok. Klucz do jego pokoju leżał na wprost niej.

Z łomocącym sercem wyciągnęła po niego rękę.

Co ja robię?

Zamiast stać i pytać ścian tej pustej sypialni, czemu tu przyjechał i czego oczekuje, mogła przecież zejść piętro niżej i spytać o to sama. Tak – pomyślała – to znacznie bardziej rozsądne.

Złapała swój jedwabny szlafrok, ciasno się owinęła i związała go w pasie. Mocno ścisnęła klucz. Wiedziała, że nie grożą jej paparazzi ani wścibscy goście, gdyż całe piętro budynku należało do niej.

Stojąc przed jego apartamentem, krótko się zawahała. Już podnosiła dłoń, by zapukać, lecz zaraz ją cofnęła, głęboko wciągnęła powietrze, wsunęła klucz w zamek i pchnęła drzwi.

Było oczywiste, że nie spał nawet chwili. Hol i salon zalewało przyciemnione światło. Siedział w fotelu i patrzył przed siebie. Gdy weszła, sztywno wstał z poważną twarzą.

Ale nie był zdziwiony. Czekał na nią.

– Czemu tu przyjechałeś? – rzuciła nerwowo, desperacko pragnąc to zrozumieć.

– Chciałem cię zobaczyć.

Na taką odpowiedź czekała, ale to nie wystarczyło. Chciała usłyszeć więcej.

Weszła w głąb pomieszczenia, początkowo zdezorientowana jego podobieństwem do jej apartamentu.

– Dlaczego?

– Proszę, usiądź.

Spojrzała na fotel, a potem pokręciła głową. Wolała stać.

– Napijesz się czegoś?

Jęknęła zniecierpliwiona.

– Amirze, odpowiedz…

Skinął głową. Rozumiał. Podszedł do niej, zachowując stosowną odległość.

– Przyjechałem do Nowego Jorku, bo to jedyny sposób, by móc się z tobą spotkać. Twój brat nie pozwoliłby ci przyjechać do Ishkany.

Uniosła brwi.

– Zapraszałeś mnie?

– Nie, ale to oczywiste, skoro mnie okłamał, mówiąc, że wychodzisz za Parisa.

– Co takiego?

– Powiedział, że niebawem odbędzie się wasz ślub. A ja uwierzyłem.

– Nie miał prawa. Nigdy bym się na to nie zgodziła.

– Wiem. – Mówił łagodnym, uspokajającym tonem, ale jej nie uspokoił. Ogarnęła ją wściekłość.

– Zrozumiałem, że powiedziałaś mu o nas, a on się sprzeciwił.

Zacisnęła zęby.

– To nie ma znaczenia, czy mu się to podoba, czy nie. W tej sprawie nie ma nic do powiedzenia.

Patrzył na nią przez kilka długich sekund.

– To twój brat – przypomniał cicho.

– Tak, ale moje życie. Jestem dorosła i sama o sobie decyduję.

– Chciałem cię zobaczyć – ciągnął spokojnie. – Ale naprawdę trudno byłoby zorganizować wizytę w Taquulu i znaleźć pretekst do spotkania z tobą, nie wywołując podejrzeń.

– Tak, rozumiem.

– Kiedy więc usłyszałem, że wyjeżdżasz do Nowego Jorku, postanowiłem tu przyjechać.

– Dlaczego? – powtórzyła, bo tylko tego pragnęła się dowiedzieć. – Przecież mnie nienawidzisz. Jestem Joharą Kadir. Twoim wrogiem.

– Jesteś kobietą, którą kocham.

Przechyliła głowę, gdyż łzy kłuły ją w oczy.

– Wciąż dręczy mnie lęk, że moja miłość zrujnuje ci życie, ale w długich miesiącach po twoim wyjeździe uświadomiłem sobie coś ważnego. Miałaś rację, przekonując mnie, że to ty powinnaś decydować o swoim losie. Znasz ryzyko związane z naszym małżeństwem. Wiesz, jak wiele może to zmienić w twoim życiu, w tym również twoje stosunki z bratem. Odepchnąłem cię, bo sądziłem, że tak będzie dla ciebie lepiej. Nie

chciałem cię narażać na niebezpieczeństwo. Teraz jednak uznałem, że to twoja decyzja.

Mówił głębokim, nabrzmiałym bólem głosem.

– Proszę cię tylko o to, byś uwierzyła, że jeśli zechcesz dzielić ze mną życie, zrobię wszytko, co w mojej mocy, byś była bezpieczna i szczęśliwa.

Milczała w zupełnym odrętwieniu.

– Wiem, że cię zraniłem, choć przysięgałem, że nigdy tego nie zrobię. – W końcu dotknął jej dłoni lekkim muśnięciem palców. – To dlatego, że za wszelką cenę chciałem cię chronić.

Odwróciła twarz, by ukryć przed nim łzy.

– Zraniłeś mnie – powiedziała łagodnie. – Odepchnąłeś wtedy, gdy mogłam cię wesprzeć. Sprawiłeś, że poczułam się zbędna, niepotrzebna. I choć nie po raz pierwszy mnie to spotkało, zabolało mocniej niż kiedykolwiek.

– Działałem pod wpływem impulsu – powiedział cicho.

Skinęła, ciągnąc dalej:

– Wróciłam więc do domu. Czekałam, myślałam o tobie, i tęskniłam każdego mijającego dnia. Ale ty zniknąłeś. Tak jakby nigdy nic się nie wydarzyło. A teraz prosisz, żebym zapomniała? Żebym znów poczuła to, co czułam wtedy?

Mówiła to z goryczą, ale z każdą chwilą jej serce topniało. Widząc jego napiętą z bólu twarz i głęboki żal w oczach, uświadomiła sobie, że jej ostre słowa nie są w pełni prawdziwe.

– Przyjechałem tu świadom, że możesz mnie odtrącić – rzekł ze spuszczoną głową. – Ale uwierz, że nie dlatego żądałem, byś wyjechała, bo cię nie kochałem. Przeciwnie, kochałem zbyt mocno, by cię zatrzymać. A teraz kocham zbyt mocno, by ci się przeciwstawić. Chcę tylko, byś

wiedziała, że zawsze będziesz jedynym sensem mojego istnienia, Joharo. Bez względu na to, czy zostaniesz ze mną, czy nie.

Uniósł jej dłoń do ust i lekko pocałował.

– Kocham cię.

Jego głos ocknął ją z odrętwienia. To naprawdę się działo. Otwierał przed nią serce, a ona wciąż nie mogła powstrzymać gniewu. Czyżby odpychała go z obawy, że miłość znów ją zrani?

A może miłość zawsze niesie ze sobą zagrożenie? Może dlatego wygraną w tej grze jest szczęście?

– Co ty powiedziałeś? – spytała, zdumiona, że mówi tak spokojnie, choć targała nią burza emocji.

– Czy to nie oczywiste?

Potrząsnęła głową.

– Chyba powinieneś to powtórzyć.

Posłusznie skinął, ostrożnie dobierając słowa.

– Pragnąłbym powrócić do tamtej nocy i zmienić wszystko, co mówiłem i zrobiłem. Pragnąłbym wziąć cię w ramiona, podziękować za twoje wsparcie i razem z tobą stawić czoło wyzwaniom, które przed nami wyrosły. Nie sam, ale razem z tobą, gdyż chodzi o nasze kraje.

Gdy to mówił, z trudem łapała powietrze.

– Ale nie mogę cofnąć czasu i zmienić tego, co było. Dlatego teraz ofiarowuję ci moje serce, moją przyszłość i wszystko, co możemy dzielić. Proszę, byś zechciała mnie poślubić, jeśli zdołasz mi wybaczyć. Ale to nie wszystko. Proszę nie tylko o to, byś była moją żoną i matką moich dzieci, ale pragnę również, byś rządziła u mego boku jako prawowita władczyni. Mój kraj będzie szczęśliwy, mając tak mądrą i dobrą królową, a ja proszę, byś mimo trudnej przeszłości zechciała spojrzeć w przyszłość, która się przed nami otwiera.

Teraz łzy płynęły z jej oczu niepowstrzymanym strumieniem. Zatrzymał opuszkiem kciuka jedną, potem drugą, a wreszcie osuszył całą jej twarz.

– Proszę, nie płacz – prosił ochrypłym głosem.

Chciała się roześmiać, ale z jej ust dobył się szloch.

– Amirze, tak bardzo chciałam cię znienawidzić. – Tupnęła z irytacją. – A tak bardzo za tobą tęskniłam.

Przyciągnął ją i mocno do siebie przytulił.

– A więc jest nas dwoje.

Słuchała rytmu jego serca i wiedziała, że bije tylko dla niej. Stała, przyciskając głowę do jego piersi, próbując oswoić się z rzeczywistością, w której miała żyć, i szczęściem, które jej dano.

Podniosła wzrok i mrugnęła do niego z uśmiechem.

– Jedźmy do domu, Amirze.

Westchnął z radością i niewymowną ulgą, a potem nachylił się do jej ust.

– Tak, *inti qamar*. Jedźmy.

EPILOG

Amir był pewien, że ich małżeństwo wywoła powszechną niechęć – zarówno ze strony jego poddanych, jak i mieszkańców Taquulu. Był na to przygotowany i uprzedzał o tym Joharę.

Jakże się mylił. Na wiadomość o nadchodzącym ślubie szejka Ishkany z księżniczką sąsiedniego Taquulu wybuchła euforia, której towarzyszyło radosne oczekiwanie. Omawiano drobiazgowo każdy szczegół ich związku, a włączając telewizję, Amir z miejsca natykał się na jakiś talk show, gdzie zażarcie dyskutowano o tym, w jakiej tiarze Johara stanie na ślubnym kobiercu i czy klejnot w jej zaręczynowym pierścionku pochodzi z Ishkany czy z Taquulu.

Całe miasto obwieszono bilbordami ze zdjęciem uśmiechniętej księżniczki, witając ją w Ishkanie.

Pomimo pamięci wojny i doznanych cierpień jego naród wierzył, że to małżeństwo niesie wszystkim nadzieję na trwały pokój. Wykluczało bowiem możliwość wojny i wiązało oba kraje węzłem silniejszym niż wszelkie traktaty.

Nawet Malik w końcu to zrozumiał i pogodził się z decyzją siostry. Świadom, że jego siostrzeńcy staną się prawowitymi następcami tronów sąsiadujących ze sobą państw, dołączył do wielkiej, wspólnej rodziny. Jedynie unia, nie izolacja, była drogą prowadzącą w przyszłość. Johara zdecydowała w końcu, że założy do ślubu tiarę należącą kiedyś do jej matki, zaś jej obrączka ślubna była pamiątką po matce Amira. Miała na

sobie suknię utkaną z pajęczego jedwabiu, zdobioną perłami i koronkami, a gdy szła ku niemu po ślubnym kobiercu, czuła się tak, jakby oprócz nich dwojga nie było nikogo na świecie.

Gdy się do niego uśmiechnęła, doznał bezmiaru uczuć – radości, miłości, ulgi i nadziei, z domieszką ukrytego gdzieś w sercu żalu, że jego rodzice nigdy jej nie poznają. Wierzył jednak, że to właśnie ich przykład pozwolił mu zrozumieć, czym jest miłość i małżeńskie szczęście.

Dokładnie rok po ich ślubie urodził im się syn, a dwa lata później na świat przyszły córki bliźniaczki. Czas mijał, a los nieodmiennie im sprzyjał, jednocześnie darząc pokojem i dobrobytem ich królestwa.

Tak oto, jak się w końcu okazało, jeszcze nigdy nie było równie szczęśliwej historii jak dzieje Amira i Johary.

SPIS TREŚCI:

OKŁADKA
KARTA TYTUŁOWA
KARTA REDAKCYJNA
PROLOG
ROZDZIAŁ PIERWSZY
ROZDZIAŁ DRUGI
ROZDZIAŁ TRZECI
ROZDZIAŁ CZWARTY
ROZDZIAŁ PIĄTY
ROZDZIAŁ SZÓSTY
ROZDZIAŁ SIÓDMY
ROZDZIAŁ ÓSMY
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY
ROZDZIAŁ JEDENASTY
ROZDZIAŁ DWUNASTY
ROZDZIAŁ TRZYNASTY
EPILOG